№ 38. Warszawa, dnia 6 (18) Września 1886 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

OD REDAKCYI.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . **rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . . **rs. 5**
Rocznie. . . . . **rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI
w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . **rs. 1 k. 25**
Półrocznie . . . . **rs. 2 k. 50**
Rocznie . . . . . **rs. 5**

Nadmieniamy wreszcie, że przez Prenumeratorów tak Tygodnika Mód jak i Przyjaciela Dzieci, wychodzące zbiorowe wydawnictwo wszystkich dzieł A. Wilczyńskiego, autora Kłopotów starego Komendanta, po zniżonej cenie może być nabywane z opłatą za tom kop. 60. Dotąd wyszło ich 16. We wszystkich mieszczących się w nich opowiadaniach widnieje szczery, niewymuszony, prawdziwie staropolski humor, z ową wrodzoną nam dobrodusznością, nader zręcznie przedstawioną.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Chmielnej** Nr **26.**

RUCH LITERACKI

W HISZPANII.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

(Dokończenie.)

W gronie poetów hiszpańskich, przyświeca dotąd Józef Zorylla, posiwiały wieszcz, który od pół wieku nie wypuszcza z rąk złotej liry. Należy on do tej generacyi, co przed pięćdziesięciu laty podniosła sztandar romantyzmu i powaliła stary Olimp. Zorylla w literaturze hiszpańskiej tem jest czem Hugo i Lamartin we Francyi, Byron, Woodswort i Tenysson w Anglii, Ollenschleger w Danii, czem byli u nas poeci wielkiej plejady, z których ostatni Bohdan Zaleski, spoczął niedawno w grobie. Przez lat dwadzieścia, Hiszpanie zwali wieszcza swego królem liryków. Dziś gwiazda jego cokolwiek się przyćmiła, zarówno jak gwiazda Lamartina we Francyi, przyjdzie jednak czas, że imię Zorylli stanie się dla potomnych, chlubą i żywym wyrazem literatury hiszpańskiej XIX-go wieku.

Imię to rozbrzmiało nagle przed laty pięćdziesięciu. Było to w roku 1837. Na wielkim cmentarzu w Madrycie, niezliczone tłumy otoczyły trumnę zasypaną kwiatami i wawrzynem. Przed trumną stał młodzieniec z długim włosem spływającym na ramiona, blady i pomięszany. Głosem drżącym, stłumionym łzami, wypowiedział smętną elegią; słowa jego, jakby wyrwane z serc obecnych były wyrazem powszechnej boleści. Tłum składał się z licznego grona literatów i artystów madryckich, w trumnie bowiem leżał wielki poeta Larra, który zakończył życie samobójstwem. Twórcą żałobnej elegii był Zorylla, młodzian dotąd nieznany. Odtąd imię jego zdobyło wielki rozgłos.

W wydanych niedawno wspomnieniach z da-

wnych czasów, poeta opowiada, jak dziwnym zbiegiem wypadków, dał się po raz pierwszy poznać publiczności madryckiej.

„Byłem, mówi on, w bibliotece, kiedy rozbiegła się wieść, że Larra słynny poeta, znakomity krytyk i literat odebrał sobie życie. Nazajutrz miał się odbyć wspaniały pogrzeb. Młody Włoch Joachim Massardo zaledwie, że mi znany, zwrócił się nagle do mnie.

— Prawdaż to — zagadnął — że pan pisujesz wiersze? Twój przyjaciel mówił mi o tem.

— Tak jest — odrzekłem — śpiewam sobie czasami.

— Chciejże pan ułożyć wiersz jaki na cześć Larry, ja się postaram, aby cię umieszczono koło grobu, wydeklamujesz go wobec zgromadzonych.

„Przyjąłem ten wielki zaszczyt, a ponieważ noc zapadła, powróciłem spiesznie do domu, to jest na poddasze, gdzie ubogi koszykarz dał mi maleńki kącik. Po drodze kupiłem w sklepiku świecę łojową, przy tem światełku zziębły i głodny napisałem wiersze, które otworzyły mi drogę do sławy."

Odtąd Zorylla stał się ulubieńcem Madrytu, głos powszechny uznał go pierwszym lirykiem hiszpańskim.

Był to romantyk w całem znaczeniu słowa, tak z postawy i z ubioru jak z przygód awanturniczych całego życia. W roku 1885, pospieszył do Meksyku z nieszczęśliwym Maksymilianem, był tam nadwornym poetą i ulubieńcem cesarza, świadkiem krótkich tryumfów, a następnie klęsk i krwawego dramatu. Złamany w duchu powrócił do Hiszpanii.

Jako poeta dramatyczny wielkie miał powodzenie w Madrycie. Jego „Don Juan Tenario" przez lat dwadzieścia obiegał wszystkie teatra tak w Hiszpanii jak w Ameryce Południowej.

Inne jego sztuki: „Szewc i król", „Zdrajca niepoprawny i męczennik", przyjęte były z niesłychanym zapałem. Owe dramata noszą piętno szkoły romantycznej, zarówno jak dramata Wiktora Hugo. Wszystko tu poświęcone dla efektu, postacie przesadzone, charaktery osób ekscentryczne, niezgodne z prawdą. Pełno tu wrzawy, gwałtów i niespodzianek, a przecież te dramata upajały słuchaczy. W Hiszpanii szczególniej, ten rodzaj zgodny z charakterem narodowym, budził niesłychany zapał. „Don Juan de Tenario", przeistoczony całkiem typ Don Żuana, świetny roztrzepaniec z Sewilli, mimo wszystkich nieprawdopodobieństw i ekscentryczności, czaruje dotąd widzów i czytelników. Grają go bezustanku i drukują w coraz nowych wydaniach.

Zorylla zasłynął niemniej w epopei i w pieśniach osnutych na tradycyi narodowej. Jego „Pieśni Trubadura", „Grenada" i „Legenda Cyda", przetrwają długie wieki. Zdaniem pierwszych krytyków hiszpańskich, te poemata przejdą do potomności, jako wspaniały pomnik literatury romantycznej XIX wieku.

Nie łatwo to było odnowić Legendę Cyda, tylokrotnie już powtarzaną. Dokonał tego Zorylla, podniósł do szczytu postać bohatera. Legenda Cyda jest tem dla Hiszpanii, czem dla Greków legenda wojny Trojańskiej. Zorylla w Cydzie uosobił cały naród. Podnosząc tak wielki przedmiot utworzył prawdziwe arcydzieło i niezgasłą pozyskał chwałę.

Niesłychana twórczość poety na szczególną zasługuje uwagę. Wydał on do czterdziestu tomów poezyi, liczniejsze są jeszcze utwory jego prozą, rozrzucone po pismach i przeglądach, Ostatniem ego dziełem są ciekawe wspomnienia dawnych czasów. Opisuje tu Zorylla stosunki swoje z literatami współczesnymi, wielu z nich wyraża się z najwyższym zapałem.

Miłość bratnia pomiędzy poetami, stanowiła piękną cechę epoki romantycznej. Toż samo istniało i u nas: wiadomo jak gorąco Mickiewicz ukochał Bohdana Zaleskiego; jak przerwał pracę nad cudną epopeą swoją, by pielęgnować chorego Stefana Garczyńskiego, wiadomo jak Bohdan wielbił Mickiewicza, jak czcił Brodzińskiego, jak ściśle połączony był z Wytwickim i Goszczyńskim.

Serca ich nie znały zawiści, każdy z nich cieszył się bratnim tryumfem, więcej niżeli własnym.

Zobaczmy oto z jakim zapałem Zorylla przypomina w pamiętnikach, pierwsze spotkanie z Esproneidą, którego zwano Byronem Hiszpańskim.

„Mój stary przyjaciel Vilalta, odgadł jak pragnę gorąco poznać Esproneidę, poprowadził mnie też do niego. Wielki poeta chory był, leżał w łóżku.

— Oto Zorylla — rzekł mój przewodnik i popchnął mnie w głąb ciemnej alkowy.

Głos zamarł mi na ustach, oczy moje napełniły się łzami. Esproneida wyciągnął obie ręce, objął mi szyję, pocałował mnie w czoło i wyszeptał:

— Ależ to jeszcze dziecko!

Nastąpiła chwila milczenia, Wilalto odszedł, pozostaliśmy sami. W pół godziny potem rozmawialiśmy swobodnie jak starzy przyjaciele. Brakło mi tylko światła, nie mogłem go zobaczyć. Świece paliły się w przyległym gabinecie, w alkowie panowała ciemność zupełna. Miałżem odejść nie zobaczywszy tego, którego ukochałem już całem sercem?

— Chciałbym cię widzieć — rzekłem.

— A więc przynieś tu światło.

Zbliżyłem świecę do jego twarzy, poglądałem w nią długo. Blady był, w rysach jego odbijał dziwnie oryginalny charakter. Oczy miały połysk lwich źrenic, w układzie ust widoczna była duma, szerokie czoło wieńczyła korona czarnych pokrętnych włosów. Gruba szyja, ręce małe i delikatne, dały mi wyobrażenie Pindara i Antinousa zarazem. Esproneida miał powalić bogów Olimpu w bezdenną otchłań, którą tylko co otworzył romantyzm."

Do tego przełomu dzielnie przyczynił się Zorylla, ocenił go też naród. Kiedy powrócił z Ameryki, Hiszpanie przyjęli go z niezrównanym zapałem. Rząd królowej Izabelli, przeznaczył mu 12,000 fr. dożywotniej pensyi. Miasta Barcelona i Taragan wyprawiły mu gorące manifestacye. Uniwersytet Saragoski, witał go z uroczystością, z jaką przyjmował niegdyś królów Aragonu. W Burgos i Walladolid sypano mu wieńce pod nogi, Walencya przyjęła go za syna. Grenada uczciła go serdeczną owacyą. Któżby wtedy powiedział, że najpopularniejszy z poetów hiszpańskich, kończyć będzie dni w nędzy i opuszczeniu? Z nowym porządkiem rzeczy, zawieszono pensyą, smak publiczny zwrócił się w inną stronę. Imię Zorylli zaświeci kiedyś dawnym blaskiem, ale nim to nastąpi, stary wieszcz dziś zmuszony ciężko pracować na kęs chleba!

Szerokie wrota.

Stoją otworem szerokie wrota,
Czyli pogoda, czyli to słota,
Wjeżdżają goście o każdej porze...
Za temi wroty usłane łoże,
Każdego do snu cichego wzywa...
I ten co łaknie, ten co używa,
Znajdzie tam spokój... lecz nikt nie spieszy,
Chociaż tam wchodzi w pośrodku rzeszy,
Która przyjazne rzuca mu słowa,
I za wchodzącym żal w sercu chowa...
Nikt tam nie spieszy, bo kto raz wejdzie,
Wrót tych drugi raz nigdy nie przejdzie.
Wieki mijają, a on wśród ciszy
Ni uciech świata, ni łez nie słyszy...
Lecz dla bogacza i dla nędzarza,
Stoją otworem wrota cmentarza...

Z. Morawska.

MICHAŁ DUNIAK.

NOWELKA

Maryi Konopnickiej.

(Dalszy ciąg.)

Owóż Frankowi temu, śliczna Kasia Duniaczka odrazu w oko wpadła. Słyszał on tam coś o tych „urokach," ale, że już nie z jednego pieca chleb jadł i po świecie rozglądał się z maleńka, libertynem potrosze był i nie dowierzał przygadywkom kumoszek. Ot poprostu głowę stracił.

Drogę jej zabiegał, wiadro ze studzienki wyciągał, drzewka znosić pomagał i już tylko o tem myślał, jakby tę jagodę, tę malinę, przywabić do siebie.

Nie łatwo to było. Dziewczyna harda z natury, spłoszona złem ludzi obejściem, dziką była; a Franka rudego bała się poprostu; tak szpetnym zdał się ten ospowaty, czarniawy człowiek jej oczom, przywykłym do pięknej, pogodnej, delikatnej twarzy Uriela.

Spostrzegł niebawem rudy aspirant, że drogą tą nie zajdzie daleko, to też chwycił się po niejakim czasie całkiem innej taktyki. Ilekroć wrócił z miasteczka, przynosił Kasi jakąś wieść drażniącą, powtarzając, co tam o oczach tych jej mówiono, jak ją nazywano wiedźmą, jak się odgrażano na nią; dziewczyna truła się tem i płakiwała po kątach, a rudy Franek oczekiwał tylko aż dziewczę poznawszy, jak bardzo jest wzgardzonem i straciwszy wszelką nadzieję szczęśliwszej losu odmiany, powie sobie wreszcie: „Jaki on poczciwy, ten Franek, że patrzy na mnie, jak na każdą inną, z prawemi oczami dziewczynę." Nieszczęściem jednak dla planów swoich, przybył Franek na farbiarnię zapóźno; Kasia nadto już przywykła pocieszać się w utrapieniach swoich, słodką życzliwością Uriela. Nie była już samotną; miała się przed kim użalić, wypłakać; wiedziała też, że chłopcu miłą była, jak siostra, a proste jéj serce nie pragnęło więcej. Franek jednak nie był jednym

z tych, co łatwo porzucają zamiary swoje. Obojętność i wstręt, jaki mu okazywała piękna dziewczyna, drażniły go coraz bardziej.

Na domiar złego, rzucając do koła kosemi swemi oczami, spostrzegł, że Kasia mile patrzy na farbiarzowego syna. Przy pierwszej więc sposobności do Duniaka zaszedłszy, bąknął coś o tem staremu. Rybak zatrząsł się, za kark go pochwycił i podniósłszy wysoko, przez płot do farbiarni rzucił, a potem splunął, ręce w połę wytarł, jakby po dotknięciu padliny i siadł dumać na ławie, oddychając gniewnie i głośno. Czy wierzył, czy nie wierzył, trudno było wiedzieć, dziewczynie jednak swojej nie rzekł i słowa; czas tylko jakiś patrzał pilnie na jej bladawą, dziecinną jeszcze twarzyczkę i ciężko wzdychał. Rudy Franek długo w pokrzywach pod płotem leżał, jak garnek rozbity, nareszcie pod wieczór, pozbierawszy się jakoś, klnąc i stękając na farbiarnię wrócił, z sercem kipiącem nienawiścią i zemstą, dla hardego starca i jego pięknej córki.

Odtąd, ilekroć do miasteczka zaszedł, dziwy opowiadał o „urocznej" dziewczynie Duniaka, która się pokochała w żydzie i na „katolika", tu pięścią uderzał w chude, zapadłe piersi, patrzéć nawet nie chce.

Zgorszenie było powszechne; kumoszki głowami kiwały, wzdychając; dziewczęta chichotały szyderczo; chłopcy się odgrażali, słowem, wszystko aż wrzało przeciw biednej Kasi, jak w poruszonem mrowisku.

Nadszedł dzień Bożego Ciała. Ustawiono w rynku ołtarze. Dziewczęta z miasteczka szły w bieli i w kwiatach, niosąc chorągwie złociste i jaskrawo malowane obrazy. Jedna tylko Kasia Duniaczka nie śmiała iść z niemi i wtedy dopiero, kiedy procesya do kościoła weszła, przypadła biedna dziewczyna na progu kruchty, łącząc swój głos, łzami nabrany, z płaczem śpiewającego ludu. Przez drzwi otworzone szeroko, widać było ołtarz wśród jarzących świateł i chwiejące się po obu stronach nawy chorągwie rozwiane.

Naraz, zrobiła się cisza. Siwy kapłan wzniósł w obu rękach monstrancyę złocistą, obwieszoną wianuszkami z ziół pachnących i zwrócił się do ludu, by mu błogosławić. Uderzyły rozgłośne dzwony, dymy kadzideł obłoczkiem sinym w górę się poniosły, tłum padł twarzą na ziemię, a w powietrzu zabrzmiało uroczyste *Salvum fac.*

Uniesiona wzruszeniem tajemniczem, Kasia podniosła w górę piękne oczy swoje, podniosła i krzyknęła...

Ołtarz obwieszony jedwabiami, które się od wysoko ustawionych świec zajęły, palił się na najwyższych gzemsach swoich, jak Tabor ukoronowany płomieniem.

W kościele cisza była; drżący głos starca wznoszącego „święte, świętych", zwiastował pokój i zbawienie ludowi.

Przenikliwy krzyk Kasi zatrzepotał się jak ptak, pod kamiennem sklepieniem świątyni i znikł w majestatycznym chórze organów, które kapłanowi odpowiedziały: „Amen".

Ołtarz gorzał...

Dziewczyna, jak urzeczona, wpatrzyła się weń, szeroko roztwartemi z przerażenia oczami.

Kapłan błogosławił wschodowi i zachodowi słońca, zakreślając krzyż, złocistych blasków pełen nad ukorzonym tłumem. A zaś, błogosławił południowi i północy...

Naraz rozległo się wołanie: „gore"!

Na krzyk ten, zerwała się Kasia i jak obłąkana biedz w stronę rzeki poczęła...

Powstało zamięszanie okropne, ludzie rzucili się jedni ratować, inni uciekać. Ci właśnie spostrzegli Kasię. Ktoś krzyknął: „czarownica!" a na to hasło, tłum rozjątrzony rzucił się za nią w pogoń, miotając kamienie, obelgi i błoto, co kto miał.

Bez tchu leciała dziewczyna, jak wichrem niesiona, jasne jej długie włosy, rozplotły się w biegu; mizerna chusteczka związana na piersiach, szeleściała jako skrzydła ptaka... Już, już, dopaść miała chaty ojca swego, gdy przebiegającą mimo farbiarni, kamień trafnie rzucony uderzył w głowę tak silnie, że dziewczyna bez pamięci na ziemię upadła. Krew polała się z rozciętej skroni, tłum roznamiętniony coraz był bliżej i byłby ją rozszarpał niechybnie, gdy w progu farbiarni ukazał się Uriel, dziewczynę ranioną pochwycił na ręce i drzwi zaparł. Napastnicy ujrzawszy strugę krwi czerwoną, ostygli jakoś w zaciętości swojej i powybijawszy tylko szyby w farbiarni, do pożaru w miasteczku wrócili. Tymczasem nadbiegł Paweł, który z garstką odważnych ratował kościół od ognia, w drodze dowiedział on się o zajściu pod farbiarnią i biegł oszalały prawie z bólu i wściekłości. Gdy do izby wszedł i obaczył krwawe na podłodze ślady, zatrząsł się cały, a chwyciwszy się obiema rękami za włosy siwe, ryknął, jak zwierz raniony i padł na ziemię przy ławie, na której złożono Kasię, tamując naprędce krew, obficie spływającą na bladą jej twarzyczkę. Chwilę tak leżał z zaciśniętemi pięściami i chrapliwym oddechem, a łzy grube, ciężkie spadały mu po zoranej troską twarzy.

Wreszcie opamiętał się jakoś, dziewczynę na ręce wziął i do chaty swojej niósł, chwiejąc się cały, jak człowiek, który dźwiga ciężar nad siły. Długo leżała w gorączce Kasia biedna, rzucając się i krzycząc po nocach ratunku, długo potem z sił wyczerpana, leżała nieruchoma, z zamkniętemi oczami. Nareszcie młodość przemogła chorobę, rana zabliźniła się, a blada dziewczyna wstała z ubogiego tapczana, na życie dalszej niedoli.

Uriel, dopiero w czasie choroby Kasi poznał, jak drogą mu była. Tęsknił bez niej, marniał, sechł jak kwiat bez rosy, a kiedy dziewczę pierwszy raz stanęło w blaskach dnia jesiennego na progu swojej chaty, rzucił się do niej i poczuł, że kocha.

Dziewczyna też na widok jego pięknej, pobladłej twarzy, zmieszała się dziwnie, a w uszach jej zabrzmiał echem głos złowieszczy, ścigającego ją tłumu, który ją i tego żydowskiego chłopca, w jednem łączył przekleństwie.

Zadrżała. Zdawało jej się, że ten tłum wyjący pędzi tuż, tuż, za nią, że ją napiera, popychając nad brzeg przepaści straszliwej, na dnie której, w płomieniach cały, Uriel wyciąga do niej ramiona.

Chwyciła się odźwierka, żeby nie upaść i przymknęła oczy olśnione.

Było jej miło i straszno czegoś. Oprzytomniawszy, poruszyła ustami chcąc się uśmiechnąć do patrzącego w nią, jak w obraz chłopca, ale uśmiech ten zagasiły dwie łzy, jasne i wielkie, któremi przemówiły bez słów, „uroczne" jej oczy.

Odtąd uczucie łączące Uriela i Kasię, nabrało jakiejś gorącej barwy podobnie, jak rozwijające się kwiaty, które słońce maluje w coraz to żywsze kolory.

Chłopiec zapomnieć nie mógł, jak ją przytuloną do piersi swoich niósł, dziewczyna słyszała ciągle ten głos nieszczęsny, który razem z obelgą rzucił jej, jakby wyrok losu nieodmienny. Mówili z sobą mało, milkli nagle, spoglądając na siebie długo, dziewczyna zadumywała się czegoś, Uriel płonął, a potem większa jeszcze bladość osiadała na jego namiętnej, pokrywającej się puchem młodzieńczym, twarzy.

Przychodził do przełazka wzruszony, drżący i przemawiał do Kasi ścicha, gorąco, chociaż treść rozmowy prostą była, powszednią, a mówiąc, pochylał się ku niej i oczyma pił jej spojrzenie. O! teraz i on był pewnym, że dziewczyna ma oczy „uroczne". Jasność ich błękitną czuł w piersiach, jak świt nieznanego dotychczas, tajemniczego słońca, które budziło do życia wszystkie jego władze.

Dziwna jakaś nieśmiałość zastąpiła dawne poufne obejście. Widywali się rzadziej, witali stęsknieni, rozchodzali smutni. Pogodna jesień długo tego roku chodziła w błękitnych mgłach i srebrnych tkankach pajęczych po ziemi usypanej różnobarwnym liściem, zapalając purpurą winogrady dzikie i potrząsając złotem brzozy i wierzby płaczące nad rzeką. Jaskółki i bociany wahały się z odlotem, wiśnie tu i owdzie w sadach podmiejskich zakwitły spóźnionym kwiatem.

Dla Uriela i Kasi, była to jakby druga wiosna, owszem nawet, jakby pierwsza w ich życiu.

Tymczasem Rudy Franek raz jeszcze zmienił swe plany. Z właściwą sobie chytrą przebiegłością zrozumiał, że Kasię tylko po jakiejś ostatecznej katastrofie posiąść będzie mógł. Zapragnął tedy kwiat ten dziki, który świeży, biały swój kielich, odwracał od niego, widzieć jak najprędzej zerwanym, rzuconym na ziemię, zdeptanym. Przestał więc prześladować Kasię, i natomiast, niechcący jakoby, ułatwiał widywanie się z nią Urielowi, drażnił chłopca przycinkami za nieśmiałość jego, dziewczęcą prawie. Pilno mu było widzieć dziewczynę w przepaści hańby, obarczoną przekleństwem ojca i wzgardą ludzi, gdyż mówił sobie: „wtedy musi moją być!"

Nie na rękę mu była niewinność ich dziewicza, niecierpliwił się, klął, radby w Uriela przelać własne swoje żary. To znowu widząc ich razem, burzył się i za włosy darł, i znieść nie mógł świeżego głosu dziewczyny, gdy wiatr poniósł jej piosenkę od rzeki.

A tymczasem płomień rozdmuchiwany przez niego, ogarniał dwie te fatalnie zbliżone z sobą istoty, koniecznie, bez ratunku, na zgubę.

Gwiazda wieczorna, która długo nad ich głowami złote roztaczała blaski, zakryła oczy mgłą srebrną, jako rąbkiem białym. Zaszumiał las na Majdanach, zerwał się wicher z za rzeki i zatrząsł chatą Duniaka i rozwiał się po polach w poświstach długich, jęczących. Szron na okienku Kasi topniał od jej oddechu, a śnieg na ścieżce do okienka tego, topniał od śladów Uriela.

Minęła zima. W Czerwcu, ławicą szły jesiotry pod wodę. Stary Duniak całe noce spędzał na rzece z sieciami, to ryby łowiąc, to nasłuchując pieśni flisaczych. Rankiem dopiero powracał i znużony, usypiał na ławie, ledwo spojrzawszy na córkę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEODORA
KOMEDYANTKA I IMPERATOROWA.
DRAMAT HISTORYCZNY W 5 AKTACH.

PRZEZ

Watts Phillips, Esquir.

PRZEKŁAD

J. B.

AKT DRUGI.

(Dalszy ciąg.)

FILIP. Cóż za występek popełniłem, ojcze, że mnie skazujesz na wygnanie?

KREON. Nie ty, Filipie, ale ja się go dopuściłem. (Nie dozwalając mówić Flipowi.) Gdy poznasz tajemnicę jaką dotąd ukrywałem przed tobą, może synowska miłość twoja, którą dla siebie tylko zachować pragnęłem, zamieni się w gorzkie wyrzuty.

FILIP (zdumiony). W gorzkie wyrzuty?

KREON. Ale tak pragnąłem, aby serce twoje ukochało mnie niepodzielnie, tak nie mogłem nawet pomyśléć o tem, abyś miał w dziecięcej modlitwie twojej, inne imię łączyć z mojem.

FILIP. Czyje?

KREON. Często zapytywałeś mnie o matkę swoją i zawsze jedną dawałem ci odpowiedź.

FILIP. Że matka moja umarła, gdy byłem jeszcze w kolebce.

KREON. Umarła rzeczywiście, ale tylko dla mnie. (Zatrzymuje się silnem miotany wzruszeniem, odwraca głowę, nareszcie mówi z wysiłkiem.) Dla ciebie, synu mój, dla ciebie Filipie, żyje ona dotąd.

FILIP. Matka moja żyje!... O! dzięki Ci, Boże!... (Patrzy na ojca, który stoi posępny i nieruchomy.) Ah! widzę iż nie wierzysz, ojcze, aby w sercu mojem mogło być podwójne a jednak równie silne przywiązanie. (Z wielką czułością.) Żadna inna postać nie zatrze w niem nigdy pierwszej tak niezatarcie odbitej... żadna, nawet jej postać.

KREON (z goryczą). Jej postać!

FILIP. Postać matki mojej!... O! jakże to czarodziejska moc mieści się w tych dwóch wyrazach Moja matka!

KREON. Lat temu dziewiętnaście, ja dziś biedny najemny kapitan, byłem zarządcą bogatej Pentapoli. Zaszczyty nieodłączne od tak wysokiego stanowiska, podzielała ze mną kobieta, piękna jak anioł, ale zmienna i zdradliwa jak uśmiechające się morze. Zaślubiłem ją choć znajdowała się na tak nizkiem i nieodpowiedniem mi stanowisku, iż wzzyscy uznali, że małżeństwo to okrywa mnie hańbą.

FILIP. Hańbą!... matka moja...

KREON (smutnie). Tak, matka twoja. (Filip chce mówić, Kreon powstrzymuje go błagalnym ruchem.) Wkrótce po twojem urodzeniu zostałem zawezwany do Konstantynopola, matka twoja towarzyszyła mi. Powiedziałem ci, że była czarująco piękną, tej piękności towarzyszyła bezgraniczna żądza bogactw, wyniesienia się i władzy... zwróciła uwagę... i szczęście moje się rozwiało.

FILIP (z dumą). I któż jest ten co ci taką wyrządził zniewagę?...

KREON. Człowiek który może wydawać i odwoływać prawa... Tyle jeszcze miała sumienia, iż nie dozwoliła mnie zabić, ale zawyrokowano rozwód i matka twoja nowy zawarła związek.

FILIP. Ale z kim? z kim?

KREON. Z tym, któremu nawet w myśli grozić nie można, bo gdyby myśl tę wyczytano w twarzy, życiem przypłacić by to trzeba.

FILIP (opuszczając rękę, cofa się nieco). Któż to jest? Kto?

KREON. Cesarz Justynian.

(Filip stoi jakby grom w niego uderzył; Kreon kładzie mu rękę na ramieniu.)

KREON. Do jej szczęścia brak tylko...

FILIP (przytłumionym głosem). Czego?...

KREON. Ciebie... Wydarła mi wszystko, odwzajemniłem się srodze wydzierając jej ciebie.

FILIP (j. w. przytłumionym głosem). Jakto?

KREON. Wysłałem cię tajemnie do Numidii, poczem, rozkazawszy zawiadomić ją żeś zachorował bardzo niebezpiecznie, kazałem do kolebki twej włożyć martwe zwłoki dziecka niewolnika. Udało mi się podejście i biedne, złamane serce moje szaloną, dziką zabiło radością, gdy dowiedziałem się, że uklęknąwszy zrosiła łzami obcego dziecka mogiłę.

FILIP. I chcesz wysłać mnie do tej kobiety! W jakimże celu, mój ojcze?

KREON. Jesteś tak młody, Filipie. W twoim wieku życie jest świeżą, rozkoszną oazą... w moim pustynią na której gwałtowne namiętności palące pozostawiły ślady. (Filip znów chce przemówić.) Filipie, nie dla ciebie to tułacze życie... Żołnierz nie zrzuca z siebie zbroi, chyba gdy już martwe zwłoki jego rzucają na pastwę sępom, albo gdy ociemniały lub kaleka za jedyną podporę ma kij żebraczy i zniewolony jest wychudłą rękę wyciągać do przechodni, błagając jałmużny.

FILIP. Życie żołnierskie nie przeraża mnie wcale. Wszak walczyliśmy obok siebie, a jeźli serce moje zadrżało kiedy obawą, to tylko o ciebie, mój ojcze. Twoja dola powinna być i moją, dzielić będziem z sobą dobre i złe losy.

KREON. Inne jest przeznaczenie nasze. Pragnę, aby młode orlę moje poszybowało wysoko. Wzrok mój się zaćmiewa, na wszystko patrzę przez mgłę smutku, twoje zaś oczy śmiało mogą patrzéć na blask słońca. Wskazuję ci drogę, jaką iść winieneś.

FILIP. Nie. (Staje przed Kreonem i błagalnym ruchem ujmuje jego rękę.)

KREON (na stronie). Hierax miał słuszność, jeden tylko pozostaje mi sposób nakłonienia go... (Głośno.) Filipie, zrób to poświęcenie, przez miłość dla mnie.

FILIP. Dla ciebie, ojcze?

KREON. Tak.

MIRIAM (ukazuje się między namiotami). Wybornie, Kreonie! doskonały pomysł.

KREON. Nie chcę umierać banitą.

FILIP (z zadziwieniem). Chcesz wrócić do Konstantynopola?

KREON (unosząc się). Ja!... nigdy!... (Miarkując się.) Pragnę tylko żądać zniesienia niesprawiedliwego wyroku; chcę umierać w mej rodzinnej ziemi.

FILIP. I ja zdołałbym to wyjednać?

KREON. W tobie jedyna nadzieja moja. Jedź z Hieraxem (Zdejmuje zawieszone na szyi na łańcuszku, małe srebrne pudełko.) W tych papirach znajdują się dowody, że... że... (Zaledwie jest w stanie zapanować nad wzruszeniem, aby powiedzieć) że... matka twoja... ma jeszcze syna.

(W oddali słychać odgłos trąbki.)

KREON (włożył łańcuszek z pudełkiem na szyję syna). Tak być musi... Żegnam cię, mój synu. (Ściska go.) Bywaj mi zdrów.

FILIP. Płaczesz, mój ojcze.

KREON. To nic... to nic... To tylko perły wilgotne, których nie zamieniłbym na skarby świata.

(Za kulisami słychać śpiew.)

KREON (gdy śpiew przycicha). Czas już odpłynąć.

FILIP. Kiedyż się zobaczymy?

KREON (z przymuszoną wesołością). Gdy uzyskasz wyrok znoszący banicyę.

MIRIAM (która weszła, gdy oni oddalają się powoli). Aa! teraz chłopiec jest w mojej mocy, już po raz drugi trzymam w ręku serce Kreona!...

KREON (patrząc w dal). Galery.

FILIP (cofając się). Ojcze!... ja nie śmiem... ja nie mam odwagi!...

KREON (zbliżając się). Nie masz odwagi?..

FILIP (bardzo zmieszany). Oh! ojcze, pomyśl tylko kto i czem jest ta kobieta.

KREON (oschle). Matką twoją i cesarzową.

FILIP. Tak, jest to cesarzowa Teodora. (Zasłania twarz rękami.)

(Zasłona spada przy odgłosie śpiewu.)

AKT TRZECI.

(Wnętrze pałacu bizantyńskiego w Konstantynopolu Galerye i nieskończona perspektywa kolumn; ściany pokryte marmurami i kosztownemi mozajkami. Pierwsze kolumny wspierają się na złoconych lwach, wszystko obmyślone w sposób, aby budziło myśl niezmierności. Przód sceny powinien być urządzony w ten sposób, aby gdy tłum i tancerki się oddalą, można było ściągnąć kobierce zawieszone między kolumnami; w ten sposób znika oddzielona scena i zostaje zwykły salon. Przesłony te nie powinny miéć więcej jak ośm do dziesięciu stóp wysokości, aby nie zasłaniały dalszej dekoracyi. Po za zamkniętą częścią sceny, znajduje się wejście na pół zakryte portyerą. Od ozdobnych drzwi spada gong i młotek. Na estradzie tron z dwoma siedzeniami. Za podniesieniem zasłony, Leon, w stroju fantazyjnym, przesadnym, ale bez śmieszności, trzyma w ręku białą laskę, godło oficera pałacu cesarskiego i laską tą wyznacza punkta, które niewolnicy znaczą kredą, a mające wskazywać figury baletu

LEON (do Greków). Wyznaczcie nowe figury, tu zagięcie a tam połączone koła, po których przesuwać się będą nogi naszych powiewnych tancerek. Zamiataj jak najstaranniej, Demetryuszu, najmniejszy kurz szkodzi tancerkom.

(Słychać odgłos trąbek. Miriam wsuwa się ukrad kiem drzwiami na lewo. Ciemny, bogaty jej strój, niczem nie przypomina jej ubioru z drugiego aktu, ani też ubioru młodej żydówki z pierwszego aktu.)

MIRIAM (zwracając się ku Leonowi pilnującemu niewolników, urządzających scenę i który wykonywa po kilka *pas* tańca, pokazując zarazem laseczką jakie miejsce mają zaznaczyć). Czy trąbki te oznaczają powrót cesarzowej z *Te Deum* odśpiewanego w kościele św. Zofii?

LEON. Nietylko cesarzowej ale i cesarza. Za powrotem mają być obecni na przedstawieniu baletu (Wykręca się na pięcie, całując końce palców.) baletu mego układu.

MIRIAM. A następnie?

LEON. Następnie najjaśniejsi państwo udadzą się do Hippodromu, gdzie jeńcy kartagińscy hołd im składać będą.

MIRIAM (zatrzymuje go w chwili, gdy probuje nowe pas). Jedno jeszcze pytanie.

LEON. Tylko proszę niech będzie krótkie; chwile czasu mistrza ceremonii są policzone.

MIRIAM. Czy w tej sali cesarzowa przyjmować będzie wysłańców z obozu?

LEON. Najpierw odtańczony będzie mój balet, a po nim dopiero nastąpi przyjęcie. Wszystko odbędzie się w swoim czasie i odpowiednio swej ważności. (Do niewolników.) Chodźcie za mną. Muszę zobaczyć czy, zgodnie z moim rozkazem pokryto galerye indyjskiemi materyami i czy wysypano kwiatami drogę, którą iść będzie cesarzowa. (Odchodzi tańcząc jakieś pas pretensyonalne; niewolnicy idą za nim.)

MIRIAM (przechodząc scenę). Muszę z nią mówić zanim ujrzy twarz Filipa. Trucizna wywrze swoją działalność. Urządziłam tak wszystko że zostanie zawiadomioną o mniemanym spisku Kreona i zbuntowanej armii, mającemu wybuchnąć przeciw jej osobie i państwu. Uwierzy temu łatwo, gdyż zbyt wielką wyrządziła mu krzywdę i zniewagę, aby nie miała obawiać go się zawsze, dopokąd czas czy wypadek nie wykopie między nimi mogiły. (Gdy wszedł Narses, podbiega prędko ku niemu z wyciągniętemi rękami i mówi coś cicho i prędko.) Widzę z twoich oczu, że się powiodło, daj mi to! (Narses waha się i ogląda wkoło; ona chwyta go za rękaw.) Jestem pewna, że je masz.

NARSES. Tak, jest tu. (Wyciąga ukryte na piersiach srebrne pudełko z łańcuszkiem jakie Kreon włożył na szyję syna.)

MIRIAM (żywo). Nie będę spokojna dopokąd go nie posiędę.

NARSES. Jeźli posiadanie go tyle kosztować będzie trudu co mnie jego zdobycie, to ci nie zazdroszczę.

MIRIAM (przygląda się pudełkowi z dziką radością). Jakim sposobem, po tylu bezowocnych usiłowaniach, zdołałeś zdobyć go nareszcie.

NARSES. Przekupiłem niewolnika Filipa i ten ubierając pana na wielkie przyjęcie wysłańców z obozu, klejnot ten zerwał mu na chwilkę z szyi i ta jedna chwilka wystarczyła do założenia w jego miejsce innego, który przysposobiłem zawczasu. A przysięgam, że kosztowna to sztuka.

MIRIAM. To też nagroda za nią przejdzie twoje oczekiwanie. Od tej chwili jesteś przyłączonym do osobistego dworu cesarzowej.

NARSES (cofając się). Do dworu cesarzowej?.. Czyż zapomniałaś?...

MIRIAM. Bynajmniej, ale ona chce zapomnieć.

NARSES (zwracając się na lewo). I jakiż urząd mam objąć?

MIRIAM. Zostajesz głównym nadzorcą tajnych więzień. (Widząc, że Narses się waha.) Lepiej więzić innych, niż samemu zostać uwięzionym. (Narses odchodzi; znowu słychać dźwięki trąb.) Teodora nadchodzi, a wszelkie dowody mogące stwierdzić prawdziwość opowieści Kreona, są w mojem ręku. W mojem ręku i w mojej mocy. (Chowa za gors pudełko z łańcuszkiem i przechodzi scenę.)

(Odgłos trąb dochodzi coraz wyraźniej, galerye ożywiają się i zapełniają. Dworzanie obojej płci szykują się po obu stronach marmurowych schodów. Gromadka oficerów w paradnych mundurach wchodzi na scenę; wśród nich zwracają uwagę Filip, Hierax i Atalaryk, przybrani w sposób nieco nowożytniejszy, ale zawsze barbarzyński.)

HIERAX (do Leona który przychodzi z przesadnemi ruchami, udając ważną osobistość). Więc nie brałeś udziału w wojnie, Leonie?

LEON. Trzymam się zdala od wojny i słońca. Wartoż byłoby pracować lat trzydzieści nad urobieniem swego temperamentu, aby owoc tej pracy utracić w ciągu jednej nocy.

FILIP (śmiejąc się). Od słońca! Ależ w Afryce laury rosną tak prędko, iż nie troszczymy się o słońce.

LEON. A teraz Mars przybywa pełnić służbę na dworze uroczej Wenus, stanowisko godne zazdrości.

FILIP. Nie koniecznie. Żołnierz jest zawsze prawym i szczerym: w obozach, prawda ukazuje śmiało i wprost całe swe oblicze, w przedpokojach cesarskich, zaledwie profil jej dojrzéć można.

LEON (cicho do Hieraxa). Więc to syn Kreona? młodszy jest niż myślałem.

ATALARYK. Co do mnie, szukam majątku i stanowiska, nie troszcząc się, gdzie je spotkam.

FILIP (prawie pogardliwie). Na dobrej jesteś drodze. Dworak jest jedynym żebrakiem, którego żebranina wzbogacić może.

ATALARYK (kwaśno). Jakto?

LEON (stając między nimi). Hola! (Odgłos fanfar.) Cesarz (z zapałem) i cesarzowa!

(Muzyka gra, w pośród pełnego uszanowania szmeru, ukazuje się Teodora, po prawej stronie cesarza Justyniana, schodzą z marmurowych schodów w głębi. Szmer zamienia się w oklaski po których następuje głębokie korne milczenie, gdy cesarz i cesarzowa schodzą na scenę i zasiadają na tronie, po obu stronach którego klękają dwie młode murzynki, ubrane biało ze złotem; trzymają w ręku kadzielnice napełnione wonnościami. Leon zbliża się i przyklęka o parę kroków od tronu.)

JUSTYNIAN. Mów czego żądasz; w tym wielkim dniu przyjmujemy wszelkie prośby.

LEON. Najpokorniejszy z waszych niewolników błaga waszych cesarskich mości, abyście raczyli zaszczycić choćby jednem spojrzeniem i uśmiechem, balet jego układu.

FILIP (cicho do Hieraxa). Więc to gwara dworska? podobnej mowy nigdy się nie nauczę.

HIERAX (cicho, biorąc go pod rękę). Przez miłość dla Kreona, bądź przezornym.

TEODORA (cicho do Miriam, która na skinienie jej zbliżyła się i jest widzialną dla widzów, choć na wpół ukryta po za tronem). Gdzież jest zuchwały zdrajca o którym mówiłaś?

MIRIAM. Tam; rozmawia z kapitanem Hieraxem.

TEODORA (zadziwiona). To dziecko! (Po chwili w ciągu której bacznie przygląda się Filipowi.) Czyż zdrada może osłaniać się maską takiej szczerości?

MIRIAM (zimno). O! Kreon umie dobierać doskonałych narzędzi.

TEODORA (na stronie ze wzruszeniem). Taka twarz samą prawdę oszukaćby mogła, taka piękna i szlachetna. (Nagle zmieniając postawę zwraca się do Leona, który już nie klęczy.) Oczekujemy na balet.

LEON (z kornym ukłonem). Posłuszeństwo jest szczęściem waszego niewolnika. (Zstępuje ze stopni i laseczką kieruje ruchami tancerek ugrupowanych w głębi sceny. Na dany znak, zdają się wpadać ze wszystkich schodów i zbierając się na środku sceny, przyklękają na jedno kolano przed cesarzem i cesarzową, z pochylonemi głowami i rękami skrzyżowanemi na piersiach.)

FILIP (z oczyma utkwionemi w Teodorę). Więc to jest moja matka! Czy podobna aby fałsz i przeniewierstwo ukrywały się pod tak wspaniale uroczą powierzchownością?

MIRIAM (do ucha Filipa, podczas gdy tancerki pochylają się przed tronem). Chodź ze mną!

FILIP (cofając się). Gdzie i po co?

MIRIAM. Wszak syn Kreona powinien bronić jego sprawy.

FILIP (przechodząc scenę). Wobec kogóż?

MIRIAM. Wobec cesarzowej Teodory.

(Gdy nikną w tłumie, rozpoczyna się balet. Jest to taniec tchnący zarazem rozkoszą i dzikością, wpół grecki, wpół azyatycki. Balet kończy się ugrupowaniem tancerek przed tronem; przyklękają i po pięknych ukłonach, znikają jak przyszły.)

TEODORA (szuka oczami Filipa). Odszedł (Do Leona który zbliżył się do tronu.) Słońce którego pragniesz będzie złotem. (Skinęła ręką i Leon odskakuje w tył ze służalczem posłuszeństwem; cesarz wstaje i podaje ramię Teodorze. Podczas gdy przechodzą scenę, przygrywa muzyka. Teodora wzrokiem szuka Filipa. Mówi do siebie:) Szkoda, że Kreon nie wybrał sobie innego agenta. (Wychodzą a za nimi dworzanie. Ściągnięte między kolumnami zasłony odosobniają scenę. Z oddali zawsze słychać muzykę.

(Jak tylko scena zostaje oddzieloną i opróżnioną, podnosi się zasłona okrywająca boczne drzwi w głębi i ukazuje się Miriam a za nią Narses. Za nimi wchodzi Ebal z kilkoma niewolnikami nubijskiemi, dziko wyglądającymi. Mają na sobie ciężkie miedziane ozdoby. Przywódzca ich, Ebal, jest uzbrojony stalowym toporem; niewolnicy powrozami. On i trzech niewolników, szykują się w głębi sceny, nieruchomi jak kamienne posągi; Miriam i Narses zbliżają się do widzów.)

MIRIAM (pogardliwie). I tobież to rozbierać rozkazy cesarzowej!

NARSES (szorstko). Dlaczegóżby nie, skoro odnoszą się do mnie.

MIRIAM. Strażnik powinien spełniać swą służbę.

NARSES. Zapewnie, jeźli chodzi o zamknięcie zamku lub zakucie kajdan; ale jeźli w dodatku dołącza się morderstwo, jest się w swojem prawie żądając za nie dopłaty.

MIRIAM. Morderstwo! a któż mówi o niem?

NARSES (wskazując Ebala i Nubijczyków). A cóż tu robią ci ludzie, jeźli można tych synów szatana uważać za ludzi?

MIRIAM. Czy przypadkiem odkryłeś w sobie sumienie?

NARSES (śmiejąc się). Byłem na wojnie i nauczyłem się tam, że niebezpiecznie jest obładowywać się zbytecznym ciężarem.

MIRIAM. Wyjąwszy jeźli ten ciężar drogo się opłaci. Mam wydane rozkazy. (Patrząc ku drzwiom.) Czekaj umówionego znaku.

NARSES. Podobnie przekonywające dowody, pokonywają wszelkie skrypuły. (Zwracając się do Ebala, który uniósł zasłonę okrywającą tajemne przejście.) Mości Ebal, ja jestem pierwszym ty drugim strażnikiem, każdy ma swój stopień. To też pozwolisz, że przejdę pierwszy, na mocy stopnia i koloru ciała. (Zaledwie zasłona zapadła za nimi, wchodzi Teodora, z zaniepokojoną miną.)

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WSPOMNIENIA.

JAN KRÓLIKOWSKI.

W zeszłą sobotę dnia 11 b. m. rozstał się z życiem doczesnem ś. p. Jan Królikowski, artysta dramatyczny teatrów warszawskich największa ich ozdoba i chluba scenicznego zawodu.

Namaszczony talentem jakim tylko niektórzy i to nader rzadko obdarzani zostają, we wszystkich rodzajach ról zawsze był wielkim, niezrównanym, wywołującym zachwyt w słuchaczach, głębokiem pojęciem ducha postaci przedstawianej, szlachetnością ożywiającego ją uczucia lub grozą boleści jakiej ulegała.

Od najmłodszych lat rozmiłowanemu w scenicznym zawodzie, już w dziecinnych zabawach teatr był najmilszą rozrywką. Publiczne występy jako młodzieniec ośmnastoletni rozpoczął w Lublinie, prawdziwie o chłodzie i głodzie, bo przypuszczony do podziału z dochodu bardzo niewielkiego jako najmłodszy, prawie nic nie pobierał. Żył też czas jakiś z wyprzedaży własnych skromnych rzeczy z domu zabranych, mieszkał na poddaszu u jakiegoś stolarza, potem sypiał w ogrodzie, wreszcie w garderobie teatralnej... nieopalonej, a gdy dostał lekcyjkę u syna rzeźnika za sześć złotych miesięcznie, uznał się za nieźle już uposażonego, bo mogącego za opłatą trzech złotych być stałym czytelnikiem miejscowej księgarni.

Z biedą taką przechodził rok cały, ale z każdą nową rolą, szedł coraz wyżej, coraz większe zdobywając uznanie, tak dalece, że Chełchowski zdolny dyrektor sceny, poznawszy w nim talent niepospolity, zabrał go do swego towarzystwa z pensyą 60 złotych miesięcznie.

Po dwóch latach włóczęgi po różnych większych miastach, publiczność w Lublinie uważać poczęła Królikowskiego za swego ulubieńca, którego nazwisko na afiszu zawsze zwabiało tłumy słuchaczy szczelnie teatr napełniających. W nagrodę tego powodzenia obdarzony pół benefisem, zyskał z niego 900 złotych o jakich nawet nie marzył.

Od tej chwili osiedlony stale w Krakowie, uznawany powszechnie jak główna ozdoba towarzystwa Chełchowskiego, stanął materyalnie o tyle dobrze, że pomyślawszy o zawiązaniu kółka rodzinnego, w roku 1843 zawarł związek małżeński z panną Cecylią Zocher a w trzy lata później w roku 1846, wszedł do teatrów warszawskich i dnia 6 Maja, wystąpił po raz pierwszy w dramacie Córka skąpca.

Czem w nim wkrótce został, wiadomo wszystkim. Żółkowski zakrólował w komedyi i nie ma równego sobie, Królikowski pierwszeństwo objął w dramacie i nikt mu nie dorównał dotąd. Żółkowski w pierwszych latach występował z wielkiem powodzeniem w operach a nawet w poważniejszych rolach, zanim wyłącznie komedyi zaczął służyć: Królikowski w wodewilach był także nieporównanym: śpiewał piosenki z wielkiem uczuciem a w komizmie nigdy nie posuwał się do przesady lub trywialności, ale zawsze trącał w nim szlachetną strunę i dźwiękiem z niej wydobytym czarował i rozrzewniał słuchaczy.

W dramacie istotnie był czasami przerażającym ale prawdziwym, zawsze takim jakim postać nakreślona została przez autora. Występując w nim nie był sobą ale postacią, którą przedstawiał, w nią wcielał się całą duszą, zapominał, że stoi na deskach teatralnych, nie widział nic i nikogo, tylko tych z któremi należał do przedstawienia, a czuł to co czuli w danej chwili bohaterowie jakich miejsce zajmował.

Jakim był artystą na scenie, takim był także mówcą i deklamatorem. Głos jego już z natury pełen dźwięku i słodyczy, tak był wyrobiony tak równy i jasny, że nawet w szepcie cichym był słyszanym przez wszystkich i ani jeden wyraz nie ginął marnie. Nieporównany deklamator, wypowiadanie publicznie różnych utworów poetycznych podniósł do takiego artyzmu, że od niego deklamacya wprowadzoną została stale do zbiorowych koncertów, dość często parodyowana przez jego naśladowców.

W domowem i towarzyskiem pożyciu wzorowy małżonek, dobry i kochający ojciec, zacny człowiek i poczciwy kolega, skromny, cichy, szanujący swą godność, nawet ze szkodą materyalną, przez wszystkich poważany i kochany, śmiercią swą obudził powszechny żal a szczerą boleść w bliżej go znających.

Szkoda nam i dobrego człowieka i wielkiego zarazem artysty, a pociecha jedyna, że spełnił wszystkie obowiązki i odbierze zapłatę tam, gdzie sprawiedliwość bezwzględną króluje.

Pogrzeb zwłok ś. p. Królikowskiego odbyty w dniu 14 b. m., przy niezliczonym tłumie publiczności, najlepszem był świadectwem powszechnego żalu i uznania jakiem się cieszył zmarły.

Z garstkami ziemi co życzliwą dłonią rzuciły tysiące na świeżą mogiłę zmarłego, niech i te słów kilka staną się jedną z nich.

Skromne one ale z serca płynące i z bólem z niego wydobyte.

Towarzystwo muzyczne zamiast nadesłania wieńca, złożyło rs. 25 jako pierwszą składkę na stypendyum imienia Królikowskiego.

Myśl w zasadzie piękna, ale sądzimy, że przed uczczeniem pamięci zmarłego, właściwszem byłoby zabezpieczenie losu pozostałej po nim wdowy, której całe utrzymanie przy dwóch synach głuchoniemych, stanowić będzie bardzo mała pensya emerytalna.

TEATR.

Nasi zięciowie, komedya w pięciu aktach, przez Kazimierza Zalewskiego.

Jeżeli tłumne uczęszczanie publiczności na jaką sztukę, ciągłe oklaski i wyjątkowe niemal powodzenie scenicznego dzieła, mogą być uważane za miarę jego wartości artystycznej, nieprzychylne zaś oceny pewnej części prasy, dowodzić, że w dziele swem dotknął autor ran lub wad spółecznych, których wyjawienie wielu może być... nie na rękę, to „Nasi zięciowie", zakrawaliby na utwór bez zarzutu. Tak nie jest jednak, komedyi Zalewskiego wiele brakuje, słabszą jest od wielu poprzednich, niemniej przeto pewnej wartości odmówić jej nie można.

A najpierw kto są ci... *nasi* zięciowie? To zięciowie semickich bankierów i przemysłowców, kupieni na targu małżeńskim, jak np. na Pradze konie, woły i nierogacizna, jak na giełdzie akcye dróg żelaznych, lub na Nalewkach wysortowane towary bankruta Lejby lub Srula.

„Mam miliony i córkę ale mi porządni tuziemcy zamykają drzwi przed nosem: pan jesteś hrabią, lub baronem, lub karmazynem starej daty ale, zrujnowanym zupełnie—powiedz mi czyś do sprzedania, i za jaką cenę cię dla mojej Gitli kupić można?" Odpowiedź: za tyle a tyle... i finita la comedia.

Ale nie wszyscy zrujnowani są do sprzedania, nie wszyscy potomkowie hetmanów zgodzą się żyć na łasce teścia i obdarzać go wnukami po tyle a tysięcy rubli od sztuki—tu więc p. Zalewski obiczował kilku tylko, chcąc zapewne wykrajać wrzód w samym zawiązku, nimby skutkiem krachu obywatelstwa szersze przybrał rozmiary. Uczciwi ludzie, czy to z własnej, czy z cudzej winy pogrążeni w ubóstwie, dźwigają się uczciwą pracą z upadku, ale nie mieniem, szwindlami nagromadzonem i podanem jako cena sprzedaży nazwiska przodków, którem chyba handlować się niegodzi!

Bankierzy Limburg i Stockfindel mają już wszystko o czem indywidua semickiego pochodzenia marzą: miliony w kasie i tysiące goimów w wekslowem jarzmie; z tem wszystkiem jednak miło jest powiedzieć: moja córka chrabina, obywatelowa albo posłowa i t. d. Jeden więc nabywa sobie hrabiego... Pimbeche'a; a drugi szlachcica Wielohradzkiego na zięcia. Z tych gagatków, kupionych jedynie tylko w celu obdarzenia przechrztów szlacheckimi wnukami—pp. teściowie nie są nadmiernie zachwyceni: fałszywi to poczciwcy, układni i potulni przed ślubem—potem wymagający hałaśliwie ciągłego złotego deszczu; nienasyceni, w chwilach odmowy, grożą procesem o posagowe kwoty, lub uciekają się do grubiaństwa i bicia żon, aby kijem połamanym na grzbiecie połowicy, otworzyć sobie kasę ojczulka. Ten Pimbeche i Wielohradzki, to skończone typy moralnych nędzarzy, godnych figurować w kryminalnych romansach Gaboriaud'a. Dla urozmaicenia nudnych trochę infamii żydowskich zięciów, autor, w pierwszym zaraz akcie, wprowadza widza do salonu niejakiej Korbiczowej, kobietki z wesołego półświatka, trudniącej się kojarzeniem takich małżeństw Chwyta ona w swe sieci zamożnego, młodego litewskiego szlachcica, Stanisława Horskiego, chcąc mu narzucić na żonę drugą córkę Limburga, Lolę,

uderzającą nietylko pięknością ale i rzeczą niezwykłą u Semitek: dobrem, poczciwem sercem. Zjawia się też u Korbiczowej i drugi Litwin, safanduła, który przybył z córką Zosią, dla znalezienia kapitalisty do spółki mającego się założyć w rodzinnej wsi szlachcica browaru.

Z dwóch zięciów odfotografowanych niemal przez Zalewskiego, hr. Pimbeche to jeszcze tylko rozpustnik i idyota, którego żona bez ceremonii oszukuje; za to mąż bankierówny Amelii Stockfindel, jest skończonym niegodziwcem i blagierem zdolnym obudzić zazdrość gaskończyków. Po przechulaniu i przegraniu w karty części posagu żony, oraz wykupionego już raz przez teścia króla kolejowego, rodzinnego majątku Wielohradu, otacza się bandą pseudo literatów, nowelistów i reporterów, którym pożycza pieniądze, których fetuje tak długo, aż ten szary koniec Parnasu pasuje go na poetę, literata, dramaturga i t. d., nareszcie namawia do założenia dziennika. Stockfindel jednak nie ma ochoty utopić kilkuset tysięcy rubli w przedsiębierstwie bibulanem, nie ufa nawet zdolnościom zięcia; zkąd wynika zabawna scena między obydwoma. Za to Horski, na seryo zostawia serce w ślicznych łapkach wzajemnej mu Loli, lecz dzięki intrydze przyjaciela niejakiego Żelskiego, zrywa z nią, tembardziej, że i Stockfidel mierząc go łokciem takich Pimbeche'ow i Wielohradzkich, zarzuca mu chęć polowania li tylko na posag dziewczyny.

Dla urozmaicenia intrygi, autor wyprowadza na widownię i córkę Dormunda, Zosię, typ gąski, która jednak odrzuca rękę i miliony bankiera Fingieca, starającego się o jej rękę. Dormund rozczarowany, widząc za jaką cenę danoby mu pieniądze na założenie browaru, wraca z Zosią do swych Margaliszek a Horski nierozłącza się z Lolą na zawsze lecz oboje, bliższe poznanie i lepsze ocenienie się, bez wykluczenia możności małżeństwa, pozostawiają... czasowi.

Oto, mniej więcej, treść utworu pana Zalewskiego.

Komedya „Nasi zięciowie” przy żywości obrazowania, niezmiernie ruchliwej a wykwintnej gry licznych scen, które naprzemian śmieszą i oburzają, powodzenie swe zawdzięcza głównie wyrobionej opinii o autorze, mistrzowskiej grze pierwszorzędnych artystów naszego dramatu, występujących w pełnym w niej komplecie, a także i skandalowi jaki wywołało postawienie pod pręgierzem handlujących nazwiskiem przodków, upadłych moralnie nędzarzy.

Z. G.

RÓŻNE WIADOMOŚCI.

Teatra ogródkowe zwinęły już swoje manatki i powędrowały w różne strony, gdzie im życzymy jak najlepszego powodzenia i lepszego doboru ludzi... zostających artystami nie dla lichego kawałka chleba, ale dla zadosyć uczynienia wewnętrznemu popędowi, co przez ciernie i głogi, w chłodzie i głodzie wydziera się na deski sztuki teatralnej.

Mamy więc tylko stałe miejscowe teatra, w których opera ratuje się artystami z obczyzny sprowadzonemi. Obecnie zajmuje w niej pierwszorzędne miejsce p. Negri, a chociaż nie jest wcale pierwszorzędnym śpiewakiem tylko zwyczajnym, chociaż sławią go sprawozdawcy a prawdziwi znawcy nie przyznają mu przymiotów w takim stopniu w jakim głosi bibuła kuryerowska, jednak oklaskiwany bywa... przez najętych klakierów, jak feniks między śpiewakami a cudowne zjawisko pomiędzy tenorami. Nieznośni ci klakierzy a nieznośniejsi ci co ich używają i opłacają!

Na skutek ogłoszonego *przedstawienia Roberta Dyabła*, w teatrze w Saskim ogrodzie, stała się dość zabawna pomyłka: nie wszystkim może jest wiadomem, iż w Paryżu przy tamtejszej synagodze znajduje się znakomity kantor czyli śpiewak rytualny, nazwiskiem Mirandau.

Dziwnym zbiegiem okoliczności prawie tak samo, bo tylko bez jednej końcowej litery, nadającej różne brzmienie, nazywa się basista francuzki, a mianowicie p. Miranda, śpiewający w naszym teatrze partyę Bertrama.

Otóż jeszcze przedtem w całej dzielnicy nalewkowskiej rozeszła się wiadomość, iż słynny kantor synagogalny przyjechał do Warszawy i ma śpiewać w teatrze.

Tłumy więc izraelitów obległy od samego rana kasę teatralną.

Panował tam taki tłok, iż jednego kandydata o bilet wyniesiono zemdlonego.

A cały entuzyazm dla p. Mirandy okazał się mylnym, gdyż kantor Mirandau nigdy w teatrze dotąd nie śpiewał i ani się spodziewał, jak go chcieli uczcić warszawscy współwyznawcy.

Co mogą uczynić piękne oczy, dowodzi tego następujący fakt, zaszły w tych dniach w naszem mieście.

Pewna izraelitka, córka zamożnego kupca, stosownie do przyjętego u izraelitów zwyczaju, została w 12-ym roku życia zaręczoną z kilkunastoletnim wyrostkiem, synem handlarza lasów w gubernii witebskiej.

Nieletni narzeczeni od chwili tych zaręczyn wcale się nie widzieli, a kierunek wychowania obojga był całkiem odmienny.

Dziewczynka chodziła w Warszawie na pensyą i dzięki ukształceniu pozbyła się wszelkich ujemnych stron, jakiemi się odznaczają zacofani wyznawcy starego zakonu.

Chłopiec zaś był inaczej kształcony.

Ojciec jego, ortodoksyjny konserwatysta, kształcił syna dość wysoko, lecz w kierunku rabinicznym i młodzieniec został naprawdę *ilujem*, to jest uczonym talmudystą.

Nic dziwnego, że panna ujrzawszy hałatowego adonisa, nieumiejącego się rozmówić po polsku, stanowczo odmówiła oddania mu swej ręki.

Pogląd ten podzielił i ojciec, ulegając wpływom jedynaczki.

Zdawało się więc, że cały układ będzie zerwany, a strona zrywająca, według przyjętego w takich razach zwyczaju, zapłaci umówioną sumę, jak tu, wynoszącą aż 10,000 rs.

Nawet i ta ofiara pieniężna ojca postępowej izraelitki wcale nie zraziła.

Nie przypuszczano jednak pewnej ewentualności.

Młody talmudysta, przybyły początkowo dla dobicia interesu małżeńskiego, zakochał się na zabój w pięknej narzeczonej i nie chcąc słyszeć o wynagrodzeniu pieniężnem, zaproponował taki układ.

Ponieważ czuje swą niższość umysłową i brak ogłady cywilizowanego człowieka, godzi więc nauczyciela, człowieka wysoko wykształconego, który z nim pojedzie do Witebska i będzie go kształcił.

Dopóki nauka nie wyda pożądanych rezultatów, dopóty nasz talmudysta narzeczonej wcale się nie pokaże.

Termin prekluzyjny został oznaczony do lat trzech, a możności korespondowania, rozumie się po polsku, nie wykluczono.

Panna układ ten w całości przyjęła i talmudysta wraz z nauczycielem, ugodzonym, oprócz całkowitego utrzymania, po 1,000 rs. rocznie, przed parą dniami do Witebska wyjechał.

Sądząc po energii i zapale zakochanego młodzieńca, można się spodziewać, iż celu, który sobie założył, zdoła dopiąć dosyć rychło.

Trzęsienie ziemi w Ameryce. Okropną klęską dotknięte zostały Stany Zjednoczone Ameryki w całym ich obszarze.

Charleston, mieście południowej Karoliny, dwa najokazalsze kościoły miejskie, runęły. Urząd policyi, wiele gmachów publicznych i dwie trzecie domow mieszkalnych rozpadły się w rumowiska.

Za pierwszem uderzeniem podziemnem wybuchło pięć pożarów.

Obecnie zaledwie setka domów jest zamieszkaną; ludność obozuje pod gołem niebem; wszystkie sklepy pozamykane; niktby się nawet do nich wstąpić nie odważył...

W ogóle liczono tu dziesięć wstrząśnień.

Najciężej dotkniętą była Bradstreet. Uzbrojone w siekiery kobiety usiłowały oswobodzić z pod rumowiska rozpadłych domów nieszczęśliwe ofiary.

Rury gazowe popękały; ciemność przeto zupełna na ulicach panowała.

Wiele pozostałych domów porysowało się tak silnie, iż za lada silniejszym podmuchem wichru runą. W ziemi potworzyły się szerokie rozpadliny, z których wydobywa się wiotki piasek; czuć również zapach siarki.

Około pięćdziesięciu osób straciło życie; dwa razy tyle jest rannych. Straty materyalne obliczają na 8 milionów dolarów.

Miasteczko Summerville, odległe o 22 mil od Charlestonu, zostało zupełnie zniszczonem. Domy kołysały się z jednej strony w drugą, jak młode drzewka w gaju, ziemia wznosiła się i opadałą, jak fala wodna.

Ludzie napół obłąkani z przerażenia powybiegali prawie nago na ulice. Kilka osób wyskoczyło z okien. Najsilniejsze domy wywrócone zostały do samych fundamentów.

Do godziny 10-ej zrana w środę liczono jedenaście wstrząśnień. Murzyni sądzili, że to koniec świata i odprawiali głośne modły na ulicach.

W Bellaplain, w stanie Jova, wskutek wstrząśnienia ziemi wylały się na miasto dwa potężne strumienie wody nieznanego pochodzenia. Studnia artezyjska poczęła wyrzucać promień wody, wynoszący 16 cali w średnicy, na wysokość kilkuset stóp.

W Richmond, w Wirginii, panowała nieopisana panika, od pamiętnego zdobycia miasta podczas wojny domowej nie pamietają takich scen popłochu i przerażenia. Trwoga wśród więźniów była tak wielką, że władze musiały wezwać pomocy wojska, podczas gdy uderzenie w dzwon alarmowy sprowadziło straż pożarną i całą policyę. Trzęsienie ziemi zaniepokoiło już więźniów niemało; gdy zaś usłyszeli dzwonki nadbiegającej straży pożarnej, sądzili, że więzienie stoi w płomieniach a nikt ich nie ratuje.

Dwóm więźniom udało się wyłamać drzwi żelazne... Jak obłąkani poczęli biegać po korytarzach, usiłując oswobodzić towarzyszów... Można wyobrazić sobie wrzawę, jaka powstała, gdy zważymy, że w gmachu przebywało 800 więźniów. Wreszcie

rozciągnięto silny kordon wojskowy dokoła więzienia; dopiero wszakże po upływie kilku godzin zdołano zażegnać anarchię. W mieście na wiadomość, że więźniowie uwolnili się, wzrósł jeszcze popłoch.

W Cleveland, Ohio, publiczność zgromadzona w operze i akademii muzycznej, przerażona gwałtownem zachwianiem się żyrandolów, rzuciła się z całym impetem do wyjścia. Myślano, że nastąpiła eksplozya na przedmieściu... Szczęściem, nikt życia nie postradał.

W Nowym Yorku pierwsi telegrafiści spostrzegli wyraźne wstrząśnienia. Pulty ich poczęły się wahać jak kołyski.

Kilku z nich wybiegło ze spękanego gmachu i zaalarmowało straże pożarne. Sikawki poczęły przeto uwijać się po wszystkich ulicach—bez celu.

Szkła i porcelany w wielu domach potłukły się na miazgę; zresztą jednak w Nowym Yorku cięższych strat nie poniesiono.

Podróż na około świata na welocypedzie. Tego non plus ultra na bicyklu zamierza dokonać amerykanin Thomas Stevens, który obecnie objeżdża kulę ziemską o tyle naturalnie o ile takowa składa się z lądu stałego.

Opuścił on New-York więcej niż rok temu i rozpoczął podróż swą objazdem Europy. W tej chwili dotarł już do Azyi środkowej, gdzie przezimował w Teheranie.

Obecnie dzielny cyklista zamierza udać się do Merwu, Buchary, Samarkandu i Taszkientu a ztamtąd do południowej Syberyi.

Z Irkucka chce spróbować dostać się do Mongolii a dalej do Pekinu i Japonii.

Tam wsiądzie na statek i uda się do San-Francisco, zkąd przebiegłszy Północną Amerykę zakończy swą podróż.

Jeżeli podróż do Chin się nie uda Stevens zamierza wzdłuż wybrzeży rzeki Amuru dotrzeć do oceanu Spokojnego.

Jak szalonego i niesłychanie trudnego podjął się Stevens zadania, widać z listu nadesłanego przez odważnego cyklistę w marcu r. b.

„Przybyłem tu, pisze Stevens z Medżed w Persyi, po dwudziestodniowej walce z żywiołami. Popełniłem błąd zawczesnego opuszczenia Teheranu i musiałem cierpieć śnieżyce, nawałnice, wylewy i przebywać niezmierzone błota.

Opuściwszy stolicę Persyi podczas upału w letnim płóciennym kostiumie, dostałem się za wstąpieniem do Chorassanu, w stopowy przeszło śnieg. Jednego dnia musiałem przebyć w bród 50 strumyków, a to podczas ostrego północnego wiatru.

Innym znów razem spotkałem taką śnieżycę, jakiej straszniejszej i w Minnesocie nie widziałem.

Przeziębły do szpiku kości, w odzieży zupełnie od mrozu zesztywniałej, z skostniałemi rękoma i zmarzniętemi nogami, wlokłem się przez góry i doliny nie znajdując najmniejszego schronienia.

A gdy mi się nareszcie udało takowe odnaleźć, jakież ono było!

Austerya dla karawan, w której w miłej zgodzie spoczywały wspólnie osły, muły, wielbłądy i ich właściciele, brudniejsi może jeszcze od zwierząt!"

Lecz gorszemi nieraz jeszcze są szykany, którym Stevens często ulega od władz pogranicznych. Często musiał się zatrzymywać lub wracać, gdyż dalsza droga tym samym traktem była wzbroniona.

Obecnie Stevens znajduje się na granicy Afganistanu oczekując na glejt, po który udał się do komisii regulacyjnej.

Znalazł tam gościnę na jednej ze stacyi telegraficznych, mieszkania jego strzeże bezustannie warta, by go uchronić od natarczywości setek krajowców, którzy bezustannie tłoczą się około niego z okrzykami:

„Chcemy zobaczyć żelaznego konia!"

W Arystokratycznych kołach Paryża przykre wrażenie wywołało małżeństwo blizkiej krewnej generała Faidherbe, młodej i znanej z piękności panny, królnjącej zazwyczaj na wszystkich zabawach na przedmieściu S-t Germain. W Maju r. b. udała się wraz z rodziną do Normandyi, a będąc utalentowaną rysowniczką, poranki spędzała na wycieczkach w celu zbierania szkiców. Przy końcu Maja nagle zginęła, a rodzina, przypuszczając, iż padła ofiarą zbrodni, po tygodniach nieopisanej trwogi dowiedziała się, iż urodziwa córka uciekła z młodym wieśniakiem do Anglii. Odtąd wieści o zbiegach żadnej nie było, aż dopiero w ubiegłym tygodniu wieśniak, zmuszony odbyć powinność wojskową, powrócił wraz z młodą żoną do Normandyi, gdzie oznajmił rodzicom, iż poślubił w Anglii arystokratyczną pannę, która przyrzekła mu, że nie powróci do rodziny swej w Paryżu, lecz będzie mieszkała w chacie jego rodziców, podczas gdy on służyć będzie w wojsku.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Сентября 1886 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego. Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Opis do N-ru 36.

(*Dokończenie.*)

N. 18. Kosz do robót. Haft na suknie; deseń patrz fig. 39.

Kosz w kształcie kuferka z wypukłem wiekiem pleciony z prostej trzciny opiera się na 85 cent. wysokim postumencie z trzciny bambusowej, z okuciem metalowem na końcach, kosz jest w górze 48 cent. długi, 32 szeroki ściana przednia i tylna jest po 31 cent. wysoka, zaś półkoliste w górze ścianki boczne liczą w środku 36 cent. wysokości. Wnętrze kosza wybite ponsowym atłasem, z wierzchu pokrycie z ponsowego sukna; fig. 39 na arkuszu z krojami daje czwartą część deseniu, który zajmuje całe wieczko a z boków spada na kształt lambrekiny. Tło haftu stanowi mozajka z odpowiednio dobranych kolorowych kawałków sukna, starannie zszywanych z sobą. Na zszyciu dana z wierzchu nitka filozeli i bajorek kolorowy i złoty. Figury deseniu haftowane są chińskim jedwabiem, ściegiem płaskim, luźnym, krzyżowanym i t. p. Pompony kolorowe i kokardy z wstążki 9 cent. szerokiej.

N. 19. Koronka wyszywana, naśladująca siatkę gipiurową.

Jest zarówno ładna jak łatwa do wykonania, mając przed oczami ryc. 19. Potrzeba najpierw na materyale narysować równą kratkę ołówkiem, następnie linie podłużne pokrywają się ściegami stębnówki (jeden ścieg na każdą stronę kratki). Mając tak przygotowane tło, daje się na niem wyszycie z pająćzków i point d'esprit; dolny brzeg w zęby, jest zamocowany dzierganiem. Model koronki był wyszyty bawełną piaskową i niebieską.

N. 21. Majtki ze staniczkiem dla chłopca lat 4—6. Krój na arkuszu N. XX, fig. 71—73.

Krają się z szyrtyngu podług fig. 72 i zestawiają podług odpowiednich liter; listewka skośna 1 cent. szeroka podszywa brzegi przednie i tylne majtek do miejsca oznaczonego przez 10, dalej zaś od 10 do góry liczy 4 cent. szerokości. Staniczek spodni z przodu głęboko wycięty (fig. 71) ma brzegi tylne wzdłuż pleców zaobrąbione na 4 c. i opatrzone dziurkami i guzikami; na zszyciu majtek ze stanikiem dana listewka 2 cent. szeroka.

N. 24. Koszula dzienna dla chłopczyka lat 3—5. Krój na arkuszu N. XIX, fig. 68—70.

Przednia i tylna połowa stanu kraje się z perkalu podług fig. 68, lewy brzeg rozporka jest zaobrąbiony na 2 cent., prawy zakłada się w fałdę 3 cent. szeroką w której obrobione dziurki, u dołu rozporek zakończony poprzeczną listewką, jak u męzkiej koszuli. Górny brzeg tylnej połowy stanu zmarszczony w środku wszywa się w karczek podwójny fig. 69; wykrój szyi wszyty w pasek prosty, 2 cent. szeroki. Rękawy wszyte w mankiet 3 1/2 cent. szeroki, mogą być zastąpione krótkiemi, odznaczonemi linią cienką na fig. 70.

N. 25. Koszula dzienna zapięta na ramionach, dla dziewczynki lat 8-10. Krój na arkuszu N. XV, f. 56-57.

Wykroiwszy przednią i tylną połowę stanu podług f. 56, zastębnówywa się z przodu rozporek w zakładę 16 cent. długą, a z boków daje po trzy zakładki 1/2 cent. szerokie, 20 cent. długie. Rękawki wszyte gładko w pachę od a do c, obrąbione 2 cent. szeroko, u góry wpuszczone w pasek 2 cent. szeroki 42 długi, zapinany na ramionach. Ząbki szydełkowe odrobione podług ryc. 37.

N. 31. Majteczki do gimnastyki dla dziewczynki lat 6—8. Krój na arkuszu N. XVI, fig. 58.

Obie połowy majtek przykrojone podług fig. 58 zszywają się od *d* do *e* i łączą z sobą od *f* do *d* i od *g* do *d*. Z boków u góry do *h* dane przecięcia podszyte 2 cent. szeroką listewką. Przednia połowa prostego paska liczy 43 cent., tylna 36 cent. długości, a 4 szerokości, w obydwóch na końcach i w środku obrobione dziurki. Dolny brzeg majtek marszczy się i wszywa w pasek 34 cent. długi, ozdobiony wszywką; falbanka z wszywki i plisowania.

N. 32. Spódniczka dla panienki lat 8—10. Krój na arkuszu N. XXVII, fig. 83.

Uszyta z perkalu lub wiktoryi, zakończona u dołu falbaną 18 cent. szeroką 3 metry obwodu mającą, oszytą koronką szydełkową, w górze przemarszczoną w nagłówek 3 cent. szeroki. Dwie górne falbanki na tylnym brycie liczą po 18 cent. szerokości a 116 długości; ażeby ułatwić prasowanie falban nie przyszywa się je z boków lecz przypina na guziki. Przód spódnicy wszyty w pasek 3 cent. szeroki, tylny bryt zaś w listewkę do tasiemki.

N. 35. Koszula dzienna dla chłopca lat 12—14. Krój na arkuszu N. XVIII, fig. 62—67.

Przednia i tylna połowa stanu przykrojona podług fig. 62, łączą się z sobą szwami bocznemi, nie doszytemi na 28 cent. do dołu; zakłada na rozporku jest 4 cent. szeroka, z boków zaś zastębnowane są zakładki po 1 1/2 cent. listewka dolna liczy 12 cent. długości a 2 szerokości. Górny brzeg tylnej połowy stanu zostaje z brzegów gładko na 15 cent. w środku drobno marszczy i wpuszcza w podwójny karczek (fig. 63). Wykrój szyi ujęty w wązki pasek (fig. 65) dopełniony kołnierzykiem wykładanym fig. 66. Rękaw zakończony paskiem 4 cent. szerokim, wszywa się w pachę przy *n* i *r*; rozporek rękawa ma przestębnowaną listewkę u góry w ząb ściętą, 3 cent. szeroką. Fig. 67 daje desenik haftu.

N. 42. Suknia z kaftanikowym stanikiem, dla młodej panienki. Krój na arkuszu N. XXVIII, fig. 84.

Odrobiona z cienkiego wełnianego materyału żółtawego koloru, gładkiego i w paski niebieskie, ma stanik dopasowany podług formy danej pod N. XIV a zmienionej podług ryc. 42, dodaniem kamizelki połączonej z draperyą przednią a krajanej podług fig. 84. Podłużny wykrój szyi dopełniony jest oddzielnym plastronem, danym z materyału w paski, przyszytym do podszewki stanika i zakończonym stojącym kołnierzem. Przy staniku dany szeroki kołnierz marynarski z gładkiego materyału, przedłużony wzdłuż przodów w wąziutkie ranwersy, rozszerzone znów u dołu i przypięte kokardami z atłasowej wstążki. Spódnica składa się z kontrafałdy z gładkiego materyału, przedzielanych materyałem w paski.

N. 43. Suknia z vêtement dla młodej panienki. Krój na arkuszu N. XXIX, fig. 85.

Odrobiona z kretonu żółtawego w rzucik kolorowy, kraje się podług formy N. XIV ze zmianami wskazanemi na fig. 85. Materyał zwierzchni kraje się w jednym ciągu z draperyą; przody a są przy wykroju szyi i przy szwie na ramionach sfałdowane podług znaków; fałdy te w dolnej połowie przodów są ściśle zebrane i przepięte kokardami, poniżej wcięcia stanu rozsuwają się płasko. Plecy *b* fałdują się także w pasie i pod szyją. Z boków podpina się draperyę dość wysoko podług znaków i dodaje kokardy z wstążki atłasowej 7 cent. szerokiej.

N. 44—45. Oszycia do sukien.

Na aksamitce 3 cent. szerokiej naszyte są drobne okrągłe złote perełki i trójlistki szlifowane z czeskiego szkła, lub okrągłe i trójkątne rznięte paciorki, które zmieniają się podług koloru sukni.

N. 46. Suknia z draperyą odmiennie z boków podpięta. Krój i plecy na arkuszu N. XI, fig. 35—36.

Spódnica i kamizelka z materyi jedwabnej w kratę szkocką, stanik i draperya z gładkiego blado niebieskiego wełnianego materyału. Stanik dopasować można podług kroju do ryc. 33 w N-rze 35, draperyę zaś krajać podług fig. 35; przód i boki draperyi (*a* i *b*) dla łatwego przypinania na haftki na baskinie stanika, naszywają się w górze na części *c*. Przyszywa się do niej prawy boczny brzeg części *a* sfałdowany, w górze podług znaków, tudzież brzeg górny częścią gładki, dalej sfałdowany; górny brzeg części *b* przyszywa się gładko, a boczne fałdują podług znaków. Z brytem *b* gwiazdką do gwiazdki łączy się tylny bryt *d*, który górnym brzegiem wszyty jest w pasek, sfałdowany w końcu prostym i w rogu skośnym podług znaków a w części środkowej spuszczonej w pukiel; brzeg boczny lewy spada gładko, prawy podpięty jest w pukiel. Nakoniec bryt *a* podwija się pod spód składając punktem do punktu a bryt *b*, krzyżykiem do krzyżyka. Stanik z baskiną ma przody w małym odstępie od pachy przestębnowane w drobniutkie zakładeczki; kamizelka w górze ma formę gładkiego karczka, niżej zaś odcięta w ząb i przymarszczona.

N. 47. Suknia z długim stanikiem. Patrz ryc. 8 w N. 35. Krój i plecy na arkuszu N. XXII, f. 76—78 a.

Materyał na to spacerowe letnie ubranie stanowi granatowy perkal gładki i w pasy tureckie, 6 cent. szerokie. Stanik przedstawiony oddzielnie na ryc. 8 w N-rze 35 dopasowywa się podług formy N. I, robiąc zmiany widoczne na fig. 77. Podszewka pod przody (fig. 1) kamizelkowe zapina się środkiem na kryte guziczki i pokrywa materyałem podług fig. 76 marszczonym bufiasto; obie połowy liczą po 20 cent. i u góry są sfałdowane na ramieniu a u dołu zmarszczone; zmarszczenie to przyciska pasek



N. 1. Sukienka bluzkowa dla dziewczynki. N. 2. Suknia vêtement. N. 3. Suknia z kaftanikowym stanikiem.



N. 4. Szlak wyszyty kolorowo na siatce.

z szerokiej wstążki spięty kokardą, podszyty marszczoną haftowaną falbanką. Boczne klapki stanika przypięte są guzikami do baskiny, pasując gwiazdką do gwiazdki i punktem do punktu. Spódnica u dołu zakończona plisowaniem 18 cent. szerokiem, które powtarza się na lewym boku sukni cztery razy; plisowanie to jest z gładkiego perkalu oszytego szlakiem. Za plisowaniem dana kontrafałda 22 cent. szeroka. Draperya przednia naszyta pasami wymierza się podług litery *a* na fig. 78 i fałduje z boków podług znaków, górny brzeg przyszywa się na sukni z przodu o 23 z boku o 10 cent. poniżej paska. Górny brzeg tylnego bryta *b* zachodzi od 1 do 30 pod kontrafałdę i wpuszczony jest w boczny szew sukni, w pasek zaś wszywa się gładko od 30 do 40, dalej zaś od 80 do 158 sfałdowany. Brzeg od 40 do 80 spuszcza się wzdłuż rozporka sukni, poniżej zaś bryt podpina się podług znaków. Brzegi boczne zostają gładko jeden z nich wraz z dolnym brzegiem oszyty jest pasem szlaku; w miejscu oznaczonem gwiazdkami podpina się brzeg dolny w górę i przyczepia na sukni 20 cent. poniżej rozporka. Kokardy z wstążki ponsowej i granatowej, 6 cent. szerokiej.

Opis do N-ru 38.

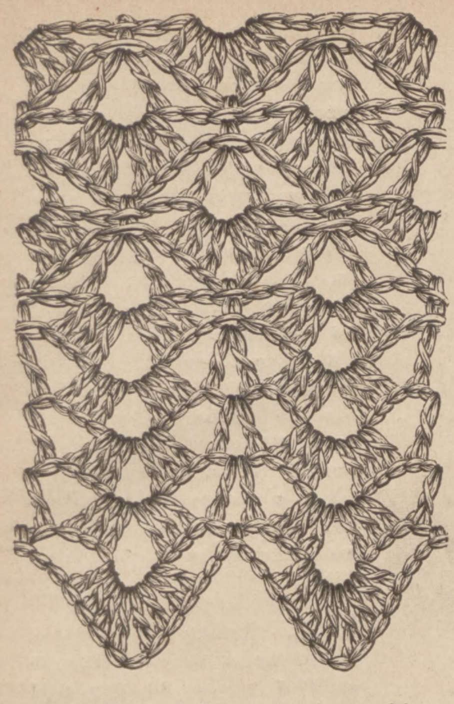
N. 1. Sukienka bluzkowa dla dziewczynki.

Staniczek dogodny, bez podszewki, z przodu i z tyłu składa się u góry w trzy kontrafałdy, a na wcięciu w stanie przemarszcza kilka razy; przody zapinane są na dodane od spodu listewki do dziurek i guzików. Trzy wolanty lekko nadmarszczone zdobią spódniczkę, której przyszycie pokrywa pasek w końcach spiczasto ścięty i przy pleckach przyszyty, z przodu na sprzączkę zapięty. Do perkalu i do lekkich wełnianych materyałów, pasek, kołnierz marynarski i mankiety, najlepiej dać z aksamitu. Duży, słomkowy, okrągły kapelusz, ubrany szarfą z jedwabnego bastu.

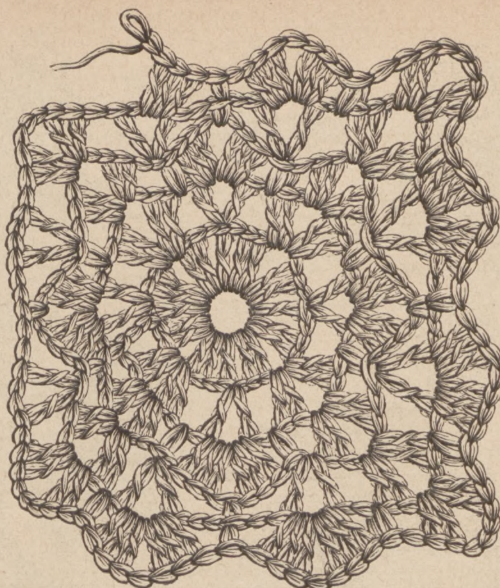
N. 2. Suknia z vêtement.

Zgrabne vêtement można z łatwością dopasować podług dobrej formy stanika Zwierzchni materyał przodów i pleców, trzeba przy wykroju szyi i na ramionach zastębnować w drobne zakładki dzielone w grupy, a na wcięciu w pasie parę razy przemarszczyć. Sute marszczki przedniej draperyi obciśnięte są w stanie paskiem aksamitnym, z boku szarfą zakończony. Tylna draperya w bufę podpięta. Na odstępach pomiędzy grupami zakładek, naszyta aksamitka, zakończona u dołu trzema pukielkami, z której także dany kołnierzyk i oszycie rękawów. Model sukni zrobiony był z jedwabnego fularu w rzucik. Duży okrągły kapelusz ze słomy *manilla*, ubrany krepą i kłosami.

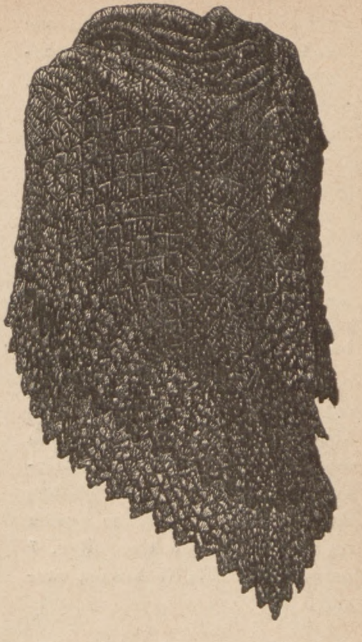
N. 3. Suknia z kaftaniczkowym stanikiem.



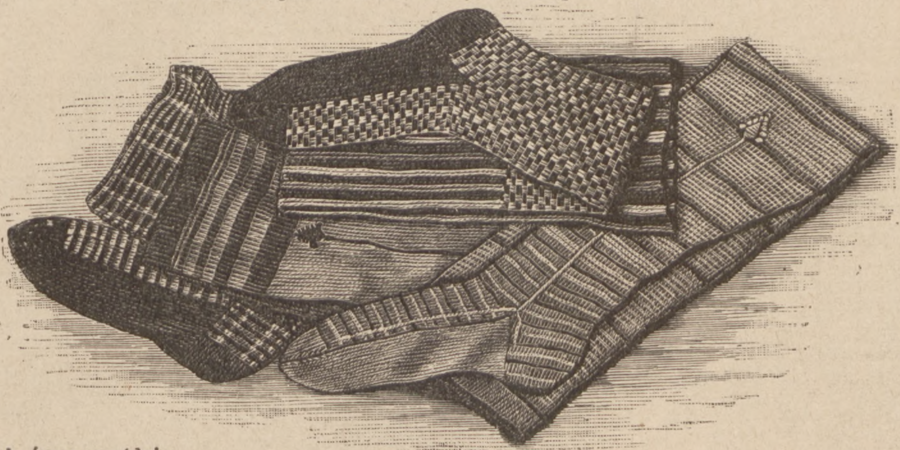
N. 5. Ząbki szydełkowe do chusteczki ryc. 7.



N. 6. Zaczęcie i robota tła szydełkowego do r. 7.



N. 7. Chusteczka robota szydełkowa. Patrz ryc. 5—6.



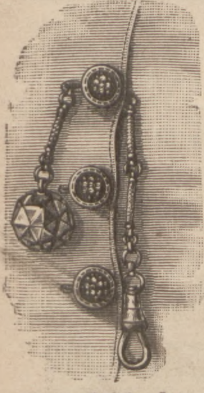
N. 8.—11. Pończochy do spacerowego ubrania.



N. 12. Pantofel wyszyty na kanwie.



N. 13. Kapelusz okrągły z włoskiej słomki.



N. 15. Krótka dywizka damska.



N. 14. Kapelusz z ażurowéj słomki.

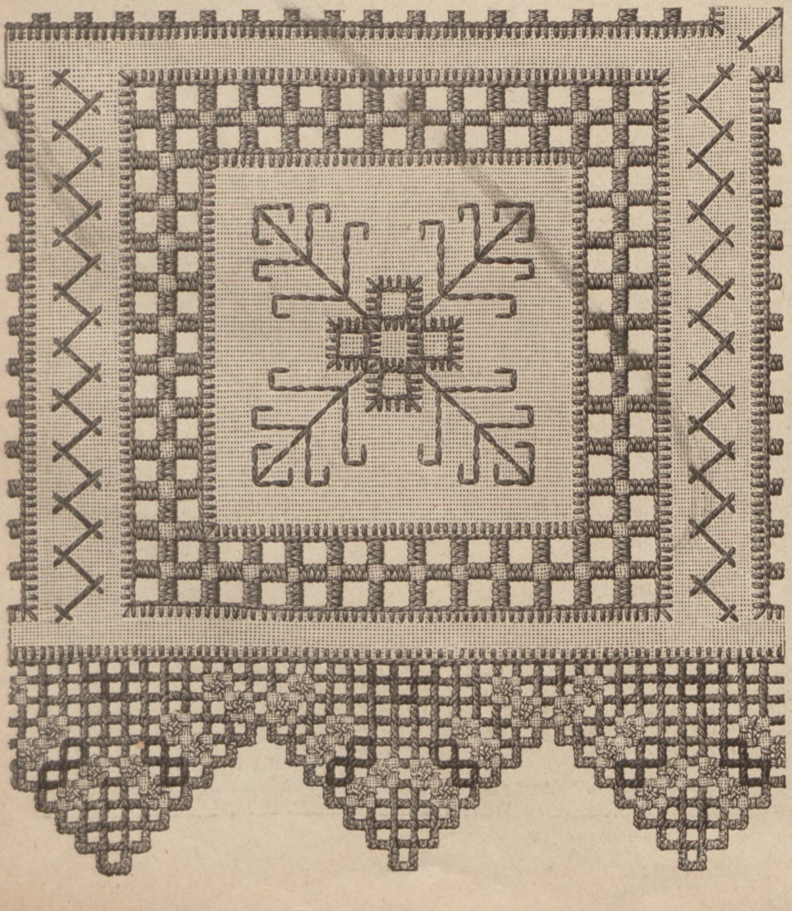
Podług najświeższej mody, do vêtement i stanika kaftaniczkowego z kaszmiru popielatego albo szafirowego, daje się spódnicę i żabot z lekkiego, ostrege, białego wełnianego materyału. Żabot marszczony, zrobiony na gładkiej podszewce, z jednego boku przyszyty z drugiego zapięty na kryte haftki, zdobią w górze szlaczki haftowane *à la breton*, jedwabiem kolorowym. Gładkie luźno puszczone przody kaftaniczkowe, ozdobione są guziczkami, odpowiednio do haftu naszytemi. Drapery krótsza, spódniczkowa fałdowana, podpięta jest z prawego boku wyżej i bardziej ku tyłowi niż z lewego. Okrągły słomkowy kapelusz z prostą główką, opasany szeroką wstążką.

N. 4. Szlak. Siatka wyszyta kolorowemi jedwabiami, na poręcz do sofy, szlak do rolet albo do firanek.

Na tle siatkowem robionem z kordonku białego, grubości wskazanej na ryc. 4, kontury deseniu, gałązki i wąsy, robione były ściegiem sznureczkowym, jedwabiem kolorowym, a tło figur cerowane pelą albo dzieloną filozelą. Zębate liście obrócone raz w górę a drugi raz na dół, cerowane były pelą siarkowego koloru, kilku cieniami, aż do blado zielonawego, a arabeskowe gałązki które je łączą, kolorem niebieskawo zielonym i cielistym. Kwiaty były naprzemian niebieskie do cieniu z kielichem różowym i cieliste z kielichem blado niebieskim. Jagody były niebieskie z ciemniejszą albo jaśniejszą obwódką i różowe z obwódką żółtą, na gałązkach ciemno i jasno orzechowych. Prosty pasek przy wązkich szlaczkach z brzegów był orzechowy jagódki czerwone i żółte listki zielone i orzechowe, na gałązkach bronzowych.

N. 5—7. Chustka robiona szydełkiem. Materyał 106 gramów jedwabiu chińskiego.

Chustkę trzymającą 126 cent. w kwadrat, zaczyna się od środka kółkiem z ośmiu o. łańcuszka, w które w pierwszem obrobieniu dać cztery razy po 2 sł. 1 o. pow., 2 słup. 1 oczko pow., 1 słup. 1 o. pow. W rzędzie 2, 3 o. pow. zamiast słup. * 4 słup. przedzielone w środku 1 o. pow. w o. p. poprzedzającego rzędu, 1 o. pow., 2 sł. przedzielone 2 o. pow., powtórzyć 3 razy od gwiazdki, zakończyć 1 o. śc. łańcuszkowem w słup. z 3 o. pow. W rzędzie 3-cim zaczyna się formowanie narożników, które powinny odznaczać kwadrat. W 3 rzędzie * 1 o. pow., 4 słup. przedzielone 1 o. pow. na narożnik, 1 o. pow., 1 o. śc. w o. pow. poprzedzającego rzędu, 1 o. pow. 6 słup. przedzielonych 1 o. pow. w o. pow. pomiędzy dwoma słup. 1 o. śc. powtarzać od gwiazdki. Od rzędu 4 i 5 zaczynają się dwa odmienne naprzemian dawane rzędy tła. W rzędzie 4-tym 1 o. pow. * narożnik z 4 słup. przedzielonych 1 o. pow., dalej aż do następnego narożnika 1 o. pow. dwa słup. przedzielone 2 o. pow. w najbliższe o. śc. 1 o. pow. i 1 o. śc. w o. p. pomiędzy grupą z 6 słup. W następującym narożniku zamiast o. śc. powtarzać od gwiazdki; na zakończenie rzędu 1 o. śc. łańcuszkowe w o. p. Rząd 5 ** 1 o. pow. 4 słupki



N. 16. Kratka ażurowa i wyszycie do serwetki płóciennéj. Opis w N. 39.



N. 17. Plecy do ryc. 28 w N. 39.



N. 18. Krótkie okrycie koronkowe. Patrz ryc. 19.



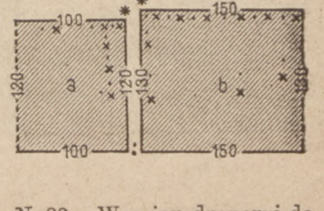
N. 19. Wymiar kroju okrycia r. 18.



N. 20. Wymiar kroju stanika ryc. 24.



N. 21. Wymiar kroju stanika do ryc. 8 w N-rze 39.



N. 22. Wymiar draperyi do ryc. 8 w N-rze 39.

przedzielone 1 oczko powietrzne wzięte w o. przed 2 sł. przedzielonemi 2 o. pow. 6 słup. przedzielonych 1 o. pow. zajęte za 2 o. między słup. * 1 o. ść. w o. ść. poprze. rzędu, 6 sł. prze. 1 o. pow., 1 o. ść. i narożnik jak na początku rzędu; ale w rzędzie 7, 9 i dalszych powtarzać od jednej gwiazdki aż do narożnika, w którym w miejsce o. pow. 1 o. ść. a dalej od **, a na zakończenie rzędów 1 o. ść. łańcuszkowe. Rząd 6 jak rząd czwarty. Model chustki liczył 32 powtórzenia tych dwóch rzędów, a zakończony był szlakiem którego dokładną probkę dajemy na ryc. 5 razem z paru zmianami deseniu tła. Ryc. 7 przedstawia całą, skończoną chustkę.

N. 12 i ryc. 18 w N. 39. Pantofel. Robota krzyżowa na kanwie.

Rzucik podany na ryc. 18 w N. 39 powtarzany w rzędach mijących się z sobą, robić trzeba filozelą czteronitkową, jednym kolorem, a tło zarabiać włóczką, ciemniejszym lub jaśniejszym cieniem tego co tło koloru.

N. 15. Krótki łańcuszek do zegarka damskiego.

Łańcuszek złoty 7 cent. długi praktyczny szczególnie do podróży albo konnej jazdy; składa się z cienkich ogniwek, a zakończony jest w jednym końcu haczykiem na szrubkę zamykanym, w drugim złotą kulką mającą $1 \frac{1}{2}$ cent. średnicy. Koniec z haczykiem przeciąga się przez dziurkę od stanika, a następnie dopiero zakłada się zegarek; kulka przy drugim końcu przyczepiona, nie pozwala wysunąć się łańcuszkowi.



N. 23. Ubranie ranne. N. 24. Suknia z gorsecikowem stanikiem. Patrz r. 19.

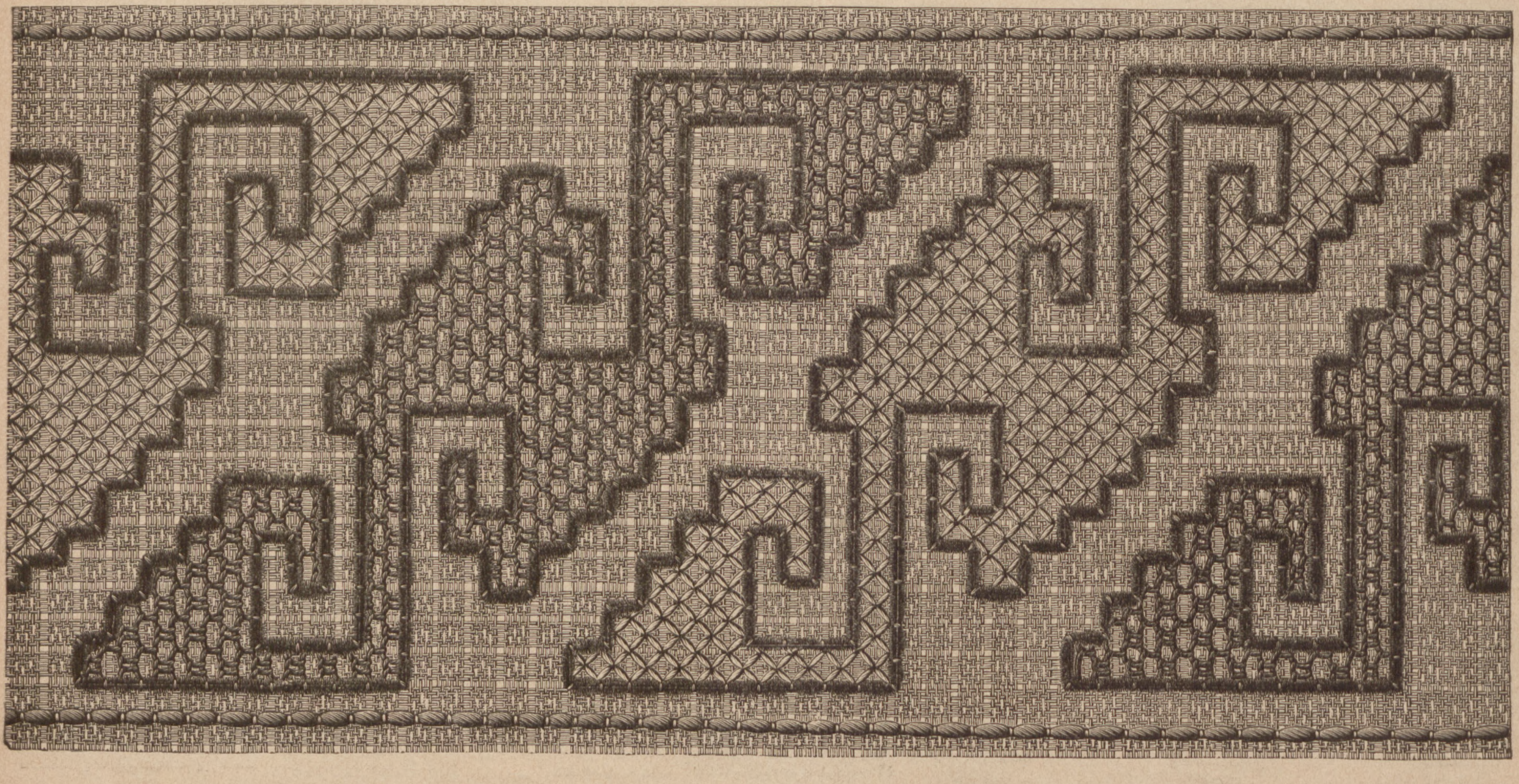
N. 18—19. Ubranie wizytowe z mantylką koronkową. Model kroju mantylki na r. 19.

Model mantylki odrobiony był z koronkowego, gipiurowego materyału i oszyty koronką 12 centymetrów szeroką. Ta ostatnia lekko nadmarszczona, przyszyta była u dołu, dalej naszyta z przodu wachlarzowo aż do wykroju szyi, przy którym stanowiła sutą riuszę. Tylko przy przodach *a* w miejscu pomiędzy gwiazdką i kropką nie daje się koronki. Rękaw *c* wszyty do mantylki od gwiazdki przez krzyżyk do dwukropka; luźno wystający koniec rękawa zaszywa się w parę fałdek, na których przyszywa się agrafę dżetową przechodzącą na wcięciu w pasie przez wierzch końców szalowych i zapiętą z przodu. Dolne brzegi przodów trzeba sciśle sfałdować i ozdobić 36 centymetrów długą kokardą z 6 centymetrów szerokiej wstążki w atłasie. Na prostokątnej baskinie pleców, przypięta jest szarfa 80 centymetrów długa ze wstążki 13 centymetrów szerokiej, z dwoma krótszemi puklami obróconemi w górę i dwoma dłuższemi spuszczonemi na dół.

N. 23. Strojne ranne ubranie. Model kroju draperyi na rycinie 27 w N-rze 39 Tyg. mód.

Eleganckie, ranne spacerowe ubranie letnie, odrobione było z wełnianego jasnego materyału w rzucik kolorowy, z dopasowanemi szlakami, dwojakiej szerokości. Materyał obrócony jest w ten sposób, że szlaki szersze zdobią dolny brzeg draperyi i spódnicy, której bryt przedni zarówno jak kamizelka, jest splisowany. Na rycinie 27 w N-rze 39 Tyg. mód, dajemy model i miary połowy draperyi, którą fałduje się w górze i wszywa w pasek, a z boków i z tyłu podpina podług krzyżyków i punktów. Pod otwarte, kaftaniczkowe przody stanika, daje się oddzielną podszewkę, a plecy zakończone są fałdowaną baskiną. Nieznacznie z przodu zapinaną, krótszą kamizelkę, zdobią dwa przepięcia z ponsowej wstążki, z jednej strony przyszyte, z drugiej od spodu na haftki zapięte. Dolne przepięcie zdobi dodana z boku, długa szarfa z kokardą. Stanik i rękawy zakończone ponsową wstążką, ogarnirowane są żółtawą koronką. Kapelusz z ponsowej materyi pokrytej żółtawym koronkowym tiulem, ubrany wstążką i koronką.

(D. n.)



N. 25. Szlak wyszyty filozelą i sznelą.